

Janusz Krzyżowski

Girlanda dzataak



Janusz Krzyżowski

Girlanda
dżafak

Janusz Krzyżowski

Girlanda dżatak

*Podziękowanie dla Umeshi Nautijala
za inspirację do napisania książki
i konsultację indologiczną*

Indo-Polish Cultural Committee

2011

Redakcja
Janusz Krzyżowski

Korekta
Danuta Wdowczyk

Projekt okładki i stron tytułowych
Piotr Szurgott

Skład komputerowy
Piotr Szurgott

Wydanie I, Warszawa 2011

Każda część tej książki może być reprodukowana lub przenoszona w jakiegokolwiek formie na wszelkie nośniki elektroniczne, mechaniczne lub inne stworzone teraz lub w przyszłości, włączając kserokopiowanie, nagrywanie i wszelkie inne systemy magazynowania i odzyskiwania informacji, bez wcześniejszej pisemnej zgody autora.

Adaptacja dżatak na podstawie *Jatakamala* wg angielskiego przekładu A.N.D. Haksara. Tybetańskie drzeworyty dotyczące poszczególnych dżatak pochodzą z *The Asian Classics Input Project*. (The woodblock drawings are also available for anyone to download without charge, and use in their own work.)

Obraz na okładce wykonany przez Surmaajava Chimeddorja jest własnością Janusza Krzyżowskiego.

Wydawca
Indo-Polish Cultural Committee i **Subamaru®**

ISBN 83-60440-09-3

Spis treści

Wstęp	7
Tygrysica	9
Król Siwi	13
Miska owsianki	17
Odważny kupiec	22
Niezwyciężony	28
Poświęcenie zająca	32
Asceta	38
Król Mitribala	44
Książę Wiśwantara	50
Poświęcenie	54
Śakra	59
Uczeń i jego guru	61
Rzucająca urok	64
Nawigator Suparaga	70
Ryba	76

Wstęp

Nieopierzona przepiórka	80
Dzban	84
Nowicjat księcia	89
Korzonki lotosu	93
Nadzorca królewskiego skarbcza	99
Historia Kuddabodhi	105
Dwa łabędzie	110
Asceta Mahabodhi	113
Wielka małpa	121
Antylopa Szarabha	126
Jeleń Ruru	130
Król małp	135
Nauczyciel wyrozumiałości	141
Okropności piekieł	145
Słoń	150
Książę Sutasoma	154
Książę z Żelaznego Zamku	160
Bawół	165
Dzięcioł	169

Dżataki to opowieści opisujące najważniejsze wydarzenia z poprzednich żywotów Gautamy Buddy, kiedy to nazywany był Bodhisattwą. Teksty te są niezwykle ważne dla zrozumienia podstawowych zasad buddyjskich nauk dotyczących właściwego życia, które prowadzić powinno do wyzwolenia z cierpienia będącego rzeczywistością życia ludzkiego.

Prezentowane opowieści — dżataki — są też niezwykle pomocne do zrozumienia, jak toczyło się życie kulturalne i religijne starożytnych Indii. Ich autor, Arjaśura, piszący w sanskrycie tworzył najpewniej w IV w. n.e. Pozostawił po sobie dzieło zatytułowane *Dżataka-mala*, czyli *Girlanda dżatak*. Napisane pięknym, kwiecistym stylem są poematami łączącymi prozę i poezję. To buddyjskie dzieło opisuje 34 najbardziej znane dżataki. Opracowane przez Arjaśurę dżataki znalazły swoje malarskie odzwierciedlenie w grotach Adżanty pochodzących z VI wieku. O dziele tym wspomina mnich i pielgrzym chiński w VII wieku, a kilkaset lat później całe dzieło Arjaśury miało swe tłumaczenia w języku chińskim, tybetańskim, bengalskim i kaszmirskim. Szkoda, że autor zdążył napisać zaledwie 34 przypowieści w „girlandzie opowieści”. Według tradycji więcej nie zdążył, ale w tym zbiorze 12 z nich to utwory niepublikowane nawet w olbrzymim dziele palij-

skim zawierającym 547 historii o bodhisattwach. Dżataki mówią o tych bodhisattwach, którzy wcielali się w istoty ludzkie, a nawet zwierzęta, po to by ratować ludzi z nieszczęścia i pomagać im w poznaniu drogi wyzwolenia. Z biegiem czasu przypowieści te, przekazywane przez tradycję ustną, zostały uznane za pouczenia samego Buddy, który opisał w nich swoje przeszłe wcielenia, kiedy odradzał się jako zwierzę, człowiek, bóg albo duch. Dziś dżataki uważane są za kluczowy element tradycji buddyjskiej i stanowią pochwałę szlachetnego życia.

Tygrysica

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Mistrz narodził się jako Bodhisattwa w rodzinie bramina w kraju leżącym u stóp Himalajów. Przepeniało go uczucie miłości i współczucia dla wszystkich żyjących stworzeń: ludzi i zwierząt. Posiadając wybitną inteligencję i przykładowy zapał do nauki, już w młodości posiadał wszelką wiedzę, jaka nagromadzona była w tej zacnej rodzinie. Został szybko doradcą królewskim, dla uczniów był zaś jak ukochany ojciec. Prości ludzie uważali, że jest jedną z tych istot, które zstąpiły z niebiańskich wyżyn, aby służyć ludowi.

Po wyczerpującym tygodniu spełniania wszelkich przypisanych mu i dobrowolnie przyjmowanych obowiązków Bodhisattwa udał się ścieżką u podnóża gór na spacer ze swym wiernym uczniem Adżitem. W jednej z jaskiń, którą akurat mijali, zobaczyli osłabioną porodem dwojga tygrysiątek ich matkę. Tygrysica miała ciężki poród i od wielu dni nic nie jadła. Nie mogła się utrzymać na nogach, z głodu zabrakło jej mleka, a obok leżały jej osłabione dzieci.

Sercem Bodhisattwy wstrząsnęła fala współczucia, a była tak wielka jak te, które wstrząsają ziemię i kruszą skały. Powiedział wtedy do Adżita:

— Mój chłopcze!

I dodał:

Spójrz na ten bezsensowny świat!
Głód zabija bezbronne zwierzęta.
Nawet matka odchodząca od zmysłów
gotowa zjeść własne potomstwo.

— Idź, drogi Adżicie, i poszukaj jakiegoś pożywienia dla tej nieszczęśliwej istoty, zanim popełni ona, w desperacji, jakiś straszny czyn.

Bodhisattwa bez nadziei, aby uczniowi udało się znaleźć w okolicy cokolwiek, czym można byłoby nakarmić ginące z głodu zwierzę, pomyślał:

Gdzie szukać bez nadziei
choć kawałka mięsa,
gdy moje ciało jest tu.
To poszukiwanie jest bezsensowne!

Moje ciało przemijające, nietrwałe,
może być jedynie źródłem bólu.
Jeśli zrzucę je ze skały,
może ono ocali tygrysicę i jej małe.
Odsunie od niej pokusę popełnienia dzieciobójstwa!



Bodhisattwa wspiał się na skałę wiszącą nad grotą tygrysicy i bez ociągania się runął w dół. Gdy po pewnym czasie powrócił, zrozpaczony niepowodzeniami w poszukiwaniach, wierny uczeń, zastał mrozącą krew w żyłach sytuację. Oto osłabiona tygrysica dowlokła się do jego mistrza i pożerała jego ciało, a z każdą chwilą widać było, jak wstępowały w nią utracone siły. Adżit gorzko zapłakał i powiedział:

— Niech będzie błogosławiony mój mistrz — ucieczka wszystkich pogrążonych w rozpacz i bólu istnienia. Esencja współczucia dla cierpiących w okowach egzystencji. Bezpieczne schronienie, dla tych, którzy uciekają od zła. Spokojna przystań dla dobrych, chroniących każdą żywą istotę.

Ziemię, na której leżały kości mistrza, pokryto później girlandami białych szarf i obsypano obficie proszkiem z drzewa sandałowego, a pamięć o jego heroicznym poświęceniu przetrwała wieki.

Król Siwi

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu potężny król Siwi panował w kraju o tej samej nazwie, a jego stolicą była Aritthaoura. Bodhisattwa urodził się jako jego syn królewski i nazwany był Księciem Siwi. Był to młodzieniec światły i uczony — skończył studia na uniwersytecie w Taksasili. Gdy jego ojciec zmarł, wstąpił na tron. Starał się zawsze unikać w swych rządach szatańskich ścieżek i iść drogami cnoty. Wybudował wiele tanich domów, które oddał do dyspozycji biednym obywatelom kraju. Codziennie na jego rozkaz skarbnik wypłacał ludziom potrzebującym bezzwrotne zapomogi. Król sam doglądał budowy tych domów i dystrybucji pieniędzy.

Pewnej księżycowej nocy monarcha nie mógł spać. Rozmyślał: Wszystko, co ofiaruję biednym, pochodzi z mego bogactwa gromadzonego przez moich przodków. Powiniennem w darze dać potrzebującemu coś, co jest moją wyłączną własnością. To byłby prawdziwy dar. Gdyby ktoś potrzebował mojej krwi, to lekarz powinien otworzyć mi żyłę i kropla po kropli dawać ją potrzebującemu! Gdyby ktoś uważał, że powi-

nieniem pracować ciężko jak niewolnik w moim pałacu, powinienem przebrać się w strój niewolnika i w znoju pełnić najtrudniejsze prace.

Deklaracje królewskie usłyszano w niebie i dobrze zapamiętano. Postanowiono sprawdzić, czy to czcze obietnice świętoszka, czy prawdziwa cnota. Toteż następnego dnia, kiedy po kąpieli i namaszczeniu pachnidłami monarcha wspiął się na słońca i udał do miejsca, gdzie rozdawano jałmużnę, wysłano tam również ślepego bramina. Ten w pewnym momencie został doprowadzony do króla i powiedział:

— Panie, nie ma w Indiach krainy, gdzie nie byłyby znane twe szlachetne czyny, szczodrość i współczucie dla biednych. Straszny jest los ślepcy! Musi czepiać się cudzych rąk, by przejść choćby kawałek drogi bez obawy, że upadnie lub straci nawet życie. Panie, ty jesteś słyszący ze współczucia. Ulituj się nad biedakiem! Masz dwoje oczu, a ja żadnego. Daj mi jedno swoje oko, proszę!

Król zastanowił się: Właśnie dziś w nocy rozmyślałem, aby z cząstki siebie uczynić dar dla potrzebującego. Ten biedak potrzebuje właśnie mojego oka. Dam mu oboje moich oczu! Nie jestem przecież małostkowy. Przywołano nadwornego medyka, Siwakę, który zawsze mu towarzyszył w wyprawach do biednych i kalek.

— Doktorze, wyjmij mi oczy i daj je temu ślepcowi. Takie jest moje życzenie i rozkaz!

Dworzanie wpadli w popłoch. Zaczęli krzyczeć, płakać i błagać monarchę:

— Panie, nie daj się okaleczyć. Jak będziesz nami rządził dalej? Co się stanie, jeśli napadnie nas wróg?



Królowa, która była obecna przy tym akcie desperacji męża, przypadła do jego nóg i błagała:

— Panie mój i mężu, nie czyn tak strasznej rzeczy! Czyżbyś nie chciał w przyszłości oglądać naszych wnuków, jak będą rośli i się rozwijali? Czy zmierzył już cię widok twej żony? Panie, nie czyn tego!

Król jednak kazał oddać i drugie oko. Okaleczony i obolały pozwolił się zaprowadzić do pałacu. Bramin szczęśliwy oglądał świat podarowanymi oczami. Bóstwa, chcące sprawdzić prawdziwość słów monarszych o gotowości ofiarowania części jego ciała, gdy przekonały się o ich szczerości, sprawiły, że cudownym sposobem odrosły darczyńcy nowe oczy.

Miska owsianki

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Mistrz narodził się jako Bodhisattwa w rodzinie królewskiej w kraju Kośala. Gdy sam został królem, zawsze kierował się sprawiedliwością wobec swych poddanych, ale również wrogów. Był wspaniałomyślny, nie chował do ludzi urazy a uczciwych szczerze wynagradzał. W kraju panował dobrobyt pomnażany jeszcze staraniem pracowitych mieszkańców. Wydawać by się mogło, że same niebiosy wspierają poczynania królewskie. Niejeden władca popadłby w tak sprzyjających okolicznościach w pychę i rychło mógłby stać się okrutnym tyranem. Władca Kośali pozostawał skromny i tylko pilnie przestrzegał, aby niebu składano należyte dziękczynienie, a pudze — wielkie państwowe ofiary — były zawsze radosnym świętem całego narodu.

Pewnego dnia królowi przypomniało się szczęśliwe życie w poprzednim wcieleniu. Z tego tak radosnego powodu raz jeszcze zaprosił swój lud do wspólnego dziękczynienia za przeszłe i obecne królewskie powodzenie. Tego dnia rozdał ubogim jeszcze więcej darów, wojsko otrzymało ekstra ufun-

dowany żołąd, a jego bliscy współpracownicy wysokie odznaczenia. Król wraz z małżonką odwiedzili okoliczne szpitale, pocieszając chorych i kalekich, przywieźli ze sobą też wiele drogich leków z dworskiej apteki.

Wszyscy byli radośni tego dnia, tylko królewskie oblicze od czasu do czasu zasnuwało się mgłą melancholii. W takich chwilach szczęśliwy monarcha recytował dziwne strofy:

Marnością jest ten szum i zgiełk,
dary me i radość wasza.
W mym sercu stale gości lęk.
Wartość chwały mnie przestrasza,
to jest jak miska owsianki.

Marnością armia, rzędy słoni,
poddanych mrowie, piękny dwór.
W mym kraju łez nikt nie roni.
Wdzięczność ludu, pochlebców chór,
to jest jak miska owsianki.

Dziwili się bliscy dworzanie, słysząc tak nieodpowiednie słowa do tak radośnie przeżywanych przez wszystkich chwil. Ztroskała się królowa: Skąd u męża tyle melancholii, wszak potrafił wszystkim sprawić tak wiele radości? Zapytała go o powody tak gorzkich refleksji, jednocześnie przepaszając, że jej wielka ciekawość nie pozwoli na dyskretne przemilczenie tego zdarzenia.

— Moja droga — rzekł monarcha. — Nie dziwię się twej ciekawości. Wszak moi najbardziej uczeni doradcy i dowódcy



też nie rozumiem, dlaczego w mej wypowiedzi pobrzmiwa smutek. Pozwól, że ci to wyjaśnię:

Tak jak człowiek budzący się ze snu przypomina sobie swoje przerwane przed chwilą sny, tak ja przypominałem sobie moje poprzednie życie. Stało mi ono wyraźnie przed oczami.

Żyłem już poprzednio w tym mieście. Byłem jednak wtedy tylko przeciętnym pracą murarzem. Byłem biedakiem, co w pocie czoła zarabia na kromkę chleba. Byłem jednak człowiekiem na wskroś uczciwym. I pewnie dlatego swą pracą wzbogacałem innych, sam pozostając w podłej kondycji. Poganianie, popychanie, nieobyczajne przekleństwa miały mnie zmusić do jeszcze większego wysiłku w pracy. Nierzadko fałszywe oskarżenia pozwalały zrabować mi ciężko zarobione grosze. A przecież miałem rodzinę na utrzymaniu. Pewnego dnia odwiedziła mój dom para mnichów. Z sercem pełnym nabożności ofiarowałem im skromny poczęstunek — każdemu po miseczce owsianki.

Sama rozumiesz, moja droga — wyjaśniał król, że w tej sytuacji czuję się zobligowany odpłacać losowi i niebu taką samą szczodrobliwością, jaką zostałem obdarowany.

— Czy wiesz, panie — rzekła królowa — ja też mam ci coś do wyznania. Bałam się jednak mówić o tym wcześniej, abyś mnie nie odprawił. Też żyłam w poprzednim wcieleniu w tym mieście. Też byłam ubogą zahukaną dziewczyną. Służyłam u okrutnych i skąpych ludzi. Raz, gdy do naszego domu przyszedł stary biedny święty mąż, moi państwo oddalili go w nieuprzejmych słowach. Cichaczem wysłałam za nim, zanosząc mu trochę ryżu, który akurat przyrządzałam dla rodziny bogaczy. Starzec podziękował mi i pobłogosławił. Po przyjsciu do domu

zapadłam w sen, z którego obudziłam się już jako królowa u twego boku, panie.

— Tak, tak, moja droga, życzliwe ofiarowanie jałmużny może do nas wrócić jak deszcz łaski bożej — rzekł król.

Odważny kupiec

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu żył w Indiach bogobojny kupiec, który dzięki wyjątkowemu szczęściu w swych przedsięwzięciach stawał się coraz bogatszy, aż został, jednym z najzamożniejszych przedstawicieli swego zawodu w tamtym czasie. Nie stał się on, na szczęście, tak jak inni przedstawiciele jego klasy, wyrafinowanym oszustem, ale zawsze kierował się w swych przedsięwzięciach honorem i uczciwością. Ponadto, aż dziw bierze, był człowiekiem uczynnym, wrażliwym na niedole innych, a dom jego znany był jako miejsce, gdzie każdy potrzebujący znajdzie pomoc. Tak życzliwe usposobienie przysparzało mu wiele uznania wśród mieszkańców okolicy. Miał jednak i wrogów: zazdrośników i nieudaczników, ryzykantów i kupców pragnących zbyt szybko i bez uczciwego wysiłku się dorobić. Największym jego wrogiem był Mara — demon — uosobienie nieprawości, kusiciel i zły duch, rozpalający wśród ludzi najgorsze instynkty, nieobyczajne pragnienia, niezaspokojone pożądania. I ten właśnie wróg, najbardziej niebezpieczny dla rodzaju ludzkiego, poprzysiągł sobie, że nie ustanie



w wysiłkach, aby zburzyć cnotę opisywanego kupca. Okazja ku temu nadarzyła się niebawem.

Mistrz, wkrótce po Oświeceniu, wędrował przez kraj jako ubogi żebrzący mnich. Pewnego świątecznego dnia stanął w progu u drzwi kupca. Ze schyloną głową i spuszczoneym wzrokiem, w milczeniu czekał ze swą miseczką na jakiś datek. W domu kupca było sporo gości. Wszyscy rozgrzani winem przekrzykiwali się opowiadając dykteryjki i dowcipy, racząc się wybornymi potrawami. A trzeba dodać, że nasz kupiec zatrudniał jednego z najlepszych kucharzy w okolicy. Goście zawsze chętnie przybywali do jego domu, bo wiedzieli, że spędzą czas w beztroskiej, pogodnej atmosferze, którą gospodarz potrafił zawsze stworzyć i jedzenie też było wyśmienite i wyszukane. Wszyscy słudzy wiedzieli, że ich pan nigdy nie pozwoli odejść żadnemu biedakowi spod drzwi z pustymi rękoma. Toteż widząc blask bijący od ubożego jałmużnika, powiadomili gospodarza o jego przyśściu. Kupiec stanął w drzwiach wewnętrznych holu, by zobaczyć proszącego. Szlachetność i skromność, którą widać było w postawie mnicha, zdecydowała, że postanowił, aby odpowiedni datek przekazała proszącemu sama gospodyni, a był to wyraz właściwego uznania niechybnie wysokiej pozycji proszącego o wsparcie.

Mara, zawsze mający na oku dom kupca, zdecydował tym razem na posunięcie mające na celu obdarcie kupca z cnoty i wrzucenie jego sumienia do dołu, gdzie przebywali wszyscy oszuści, przeniwiercy, fałszywi dobroczyńcy i tym podobne kreatury. Siłą magii stworzył w holu domu gospodarza piekielną przepaść pełną kłajających płomieni, przypiekających

pogrążonych w niej grzeszników. Widok straszny, bo nikt jeszcze na ziemi niczego podobnego nie oglądał.

Pani domu wzięła z rąk męża datek i już miała przejść przez hol, gdy owionął ją żar straszliwy, przeniknął piekielny swąd i ujrzała przed sobą przepaść piekielną. Wystraszona cofnęła się, w jej oczach zabłyśły łzy, a cała postać wyrażała paniczny lęk. Pospieszyła do męża, mówiąc:

— Panie, w naszym domu utworzyła się przepaść piekielna i zagroziła mi drogę do mnicha. Bardzo się boję. To pewnie jakaś śmiertelnie niebezpieczna zasadzka, którą sprowadzili na nas twoi wrogowie.

Kupiec pomyślał przez chwilę: Nie może tak się stać, aby ten mnich o tak szlachetnym obliczu i skromnej postawie odszedł z mego domu bez jałmużny. Powiedział:

— Moja droga, wróć do gości, a ja sam załatwię tę sprawę.

Dama z ociąganiem odeszła od drzwi, ale po chwili odwróciła się i pełna lęku czekała, co zrobi jej mąż. Ten jednak z determinacją skierował się w stronę holu, niosąc datek dla mnicha i mrużąc pod nosem:

— Cóż, u diabła, to wszystko może znaczyć?

I miał rację, bo za chwilę diabeł Mara ukazał mu się w całej postaci, unosząc się nieco nad ziemią.

— Panie — rzekł — oto widzisz przed sobą najstraszniejsze piekło, jakie kiedykolwiek powstało. Nazywa się ono Maharurawa. Stworzone zostało dla tych, którzy uzależnieni są od dawania jałmużny, przetracając w trudzie zarobione pieniądze. Są to istoty bezmyślne, popędliwe, niebaczące na dobro swych bliskich, tylko zaspakajające swoje kaprysy i fanaberie. Zazwyczaj są oni tak zapamiętali w swych błędach, że

muszą spędzać w tej czeluści tysiące lat, zanim jakakolwiek rozsądna refleksja do nich dotrze. Wszak bogactwo jest wymogiem i sprawdzianem cnoty. A kto nie ma w sobie prawdziwej cnoty, ten musi być poddany ciężkiej karze. Ofiarując datki wpędza się biednych ludzi w nałóg nieróbstwa, ma się udział w ich permanentnej biedzie a nawet się ją pogłębia. Nie rób tego błędu, panie! Bądź rozumnym posiadaczem bogactwa! Pomnażaj je! Dawaj zaradnym bogacić się! Niech biedni nie ćwiczą się w wyciąganiu rąk!

Mara przez dłuższy czas przemawiał ze swadą, kupiec jednak pomyślał: Cóż ta wredna istota będzie mi mącić w głowie i przeszkadzać w czynieniu dobra! Jeśli mam przejść przez piekło, to widać taki jest mój los. Nie zrezygnuję ze swych zasad, nie zejdem ze ścieżki dobroci i współczucia dla wszystkich istot wymagających pomocy. Takim na zawsze pozostanę! Powiedział jeszcze do złego ducha:

— Wybacz panie, ale mój ograniczony ludzki umysł nie może pojąć, jak współczucie i pomoc innym może wykluczać się z pracowitością, zaradnością, talentem kupieckim, realizowaniem pomyślnych transakcji, czy wreszcie osiągnięciem sukcesu życiowego i materialnego. I właśnie, dlatego na ludziach tego pokroju spoczywa obowiązek bycia szczodrym dla tych, których los pokrzywdził, którzy pobłądzili, a chcą się poprawić, dla wdów i sierot, chorych i kalek.

To mówiąc, zdecydowanie wkroczył w obszar piekielnej czeluści, wolny od lęku przed ogniem i swądem, nieczuły na jęki potępionych wydobywające się z głębi. Zrobił krok i... I nic się nie stało. Nadal szedł po gładkim marmurze swego holu. Mara z sykiem niezadowolenia zniknęła, a echo z oddali powta-

rzało jakieś dziwne dudnienie wydobywające się spod posadzki. Kupiec podszedł do stojącego przy drzwiach mnicha, który przez cały czas trzymał głowę nieco pochyloną, a wzrok miał skromnie skierowany na stopy kupca. Podał gościowi datek z radością w sercu i pokorą. Mnich odpowiedział skinieniem głowy, złożył ręce przed sobą w geście podziękowania i błogosławieństwa i odszedł w ciszy.

Niezwyciężony

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu żył w Indiach pewien utalentowany i szczęśliwy kupiec. Był on człowiekiem miłującym swobodę, nie tylko dla siebie, ale i nie znosił przemocy w ogóle. Cechała go rzadka w tym zawodzie uczciwość i skrupulatność w wypełnianiu wszelkich powinności, zarówno wobec władcy, społeczności, w której żył, jak i w stosunku do kontrahentów z dalekich krajów. Gościnność jego była przysłowiowa, szczodrość wobec biednych i skrzywdzonych przez los nieograniczona. Wydawał się wzorcem wszelkich ludzkich cnót, do tego stopnia, że niedowiarkowie uważali, iż jest wprost niemożliwe, aby sumienie jego nie było „czymś” splamione. Również bogowie, patrzący na ludzki padół z wysoka i z pobłażliwością, nie wierzyli, aby ziemianin mógł na stałe pozostawać w cnocie i nie był zdolny złamać swych zasad. Dlatego nazywali go Awiszahija — Niezwyciężony. Ludzie, którzy zwracali się do niego po pomoc, odchodzili zawsze ze spełnionymi prośbami a ofiarujący im pomoc kupiec z zadowoleniem w sercu, że raz jeszcze mógł być pożyteczny i jego dobra służą



też innym. Życzliwy ten człowiek wierzył, że człowiek szczodroliwy bywa bogatszy: a kto nasyca, sam też jest bardziej nasycony. Gdy latami szczodrość nie mijała, a w zachowaniu Awiszahija nie zachodziła żadna zmiana bogowie postanowili wystawić jego niezłomność na próbę.

Na początek, jeśli coś darował potrzebującym, to jego majątek w magiczny sposób zmniejszał się w dwójnasób. Trwało to jakiś czas a kupiec pozostawał niewzruszony. Nie baczył, że majątek pomniejsza się w nienaturalny sposób i dalej nie ustawał w pomaganiu potrzebującym. Mnisi, biedacy, chorzy ani kaleki nie odeszli spod jego drzwi bez wsparcia. Na nic się zdały ostrzeżenia zarządzającego księgami handlowymi ani dozorczy magazynów. Kupiec pozostawał niewzruszony, a co najwyżej mądrymi posunięciami handlowymi starał się naprawiać dziwacznie pojawiające się niedobory.

Bogowie doszli do wniosku, że postępując w taki sposób, odwołując tylko chwilę ostatecznego wypróbowania siły charakteru Awiszahiji. Postanowili jedną decyzją pozbawić go całego majątku. Tak więc zniknął piękny dom, magazyny pełne towarów, odeszli słudzy i kontrahenci handlowi. Z całego dobytku kupcowi pozostał tylko stary sierp i kłębek sznurka. Gdy więc następnego dnia obudził się w pustych ścianach podupadającej szopy i zadziwiony stwierdził, że wszystko znikło, pomyślał: Jeśli zabrał to wszystko ktoś potrzebujący i podzielił się moim dobrem z innymi, to niech tak będzie. Pewnie sam bym do tego doszedł któregoś dnia. Jeśli jednak wszystko to ma iść na zatracenie, to byłaby wielka szkoda; tylu ludziom mogłoby to wszystko służyć przez wiele lat. W pierwszej chwili pomyślał, że teraz on mógłby o coś poprosić innych, a może nawet

coś użebrać, ale od razu poczuł wielki wstyd na tę myśl. Zastanowił się i zrozumiał, z jak wielką desperacją muszą się liczyć proszący lub żebrzący ludzie, jak wielką jest to dla nich przykrością, wstydem, a często i poniżeniem. Pomyślał: Jak samolubny byłem, że tylko dawałem, a nigdy nie potrafiłem dobrze się wczuć w przeżycia ludzi proszących.

Usiadł na ławce pod jakimś drzewem i rozmyślał: jak teraz, mając do dyspozycji zaledwie sierp i sznur będzie mógł pomagać innym? Że musi nadal tak działać, w to nie wątpił. Może trzeba będzie wynajść się i zarabiać przy żniwach.

Bogowie zastanawiali się czy Awiszahija w swej obecnej kondycji nie zmieni zapatrywania na konieczność pomagania innym, bardziej potrzebującym. On sam, tak jakby przeczuwał owo pytanie, odpowiedział w myślach na nie:

Mam, co prawda, tylko sierp i sznur, ale jestem zdrowy i silny. Będę pracował przy żniwach, zaoszczędzę trochę grosza i pomogę jeszcze tym, co są słabi i chorzy. Będę tak czynić, póki mi sił starczy. Wszak bogactwo spadło ze mnie jak zużyte szaty, a ja jestem stale sobą, nawet przyodziany w to jedno dothi.

Bóstwa przekonały się, że nic nie jest w stanie poruszyć silnych przekonań tego człowieka, tak jak wiatr nie jest w stanie przesunąć górskiego ośnieżonego szczytu. Zdecydowano, że należy za pomocą magii zwrócić mu wszystko, czego został pozbawiony. Na pewno będąc bogatym, przemyślnym i pracowitym, będzie w stanie bardziej pomagać wszystkim potrzebującym istotom.

Poświęcenie zająca

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Pewnego razu, gdy Brahmadatta panował w Benares, Bodhisattwa przyszedł na świat jako młody zając, który mieszkał w lesie. Po jednej stronie lasu znajdowało się podnóże góry, po drugiej rzeka, a w pobliżu wieś. Zając miał troje przyjaciół, małpę, szakala i wydrę. Zwierzęta żyły w wielkiej przyjaźni, każde z nich zdobywało pożywienie na swój sposób, a wieczorem wszystkie zbierały się razem. Zając, który przeżył szczęśliwie wiele lat dzielił się swym doświadczeniem i mądrością z przyjaciółmi. Mówił im, że należy obserwować prawo moralne, święcić dni święte i dawać jałmużnę. Przyjaciele bez sprzeciwu akceptowali jego nauki i starali się do nich stosować.

Tak mijał czas, a Bodhisattwa, obserwując niebo i księżyc, wiedział, kiedy następnego dnia będzie dzień postu. Dlatego zawsze w przeddzień zwracał się do przyjaciół:

— Jutro jest post. Niech cała wasza trójka pamięta o moralnych zasadach i uczci dzień święty. Tym, którzy spędzają post na praktyce moralnej, dawanie jałmużny przynosi dodatkowo wspaniałą nagrodę. Dlatego nakarmcie wszystkich żebraków,



którzy przyjdą do was, dając im jedzenie z waszego własnego stołu.

Zazwyczaj wszyscy się na to zgadzali i spędzali dzień zgodnie z zaleceniami doświadczonego kolegi. Pewnego jednak dnia wydra wypłynęła dość wcześnie w poszukiwaniu pożywienia i dotarła do brzegu Gangesu. Tam minęła rybaka, który złowił siedem czerwonych ryb i po związaniu ich zakopał w piasku na brzegu rzeki. Potem ponownie wypłynął na rzekę. Wydra wyczuła zakopane ryby, a wyciągając je, krzyknęła:

— Czy te ryby do kogoś należą?

Nikt się nie odezwał, gdyż rybak był z dala od brzegu. Chwyła je w zęby i zaniósła do dżungli, do miejsca, w którym żyła, z zamiarem zjedzenia ich, gdy nadejdzie odpowiedni czas. A potem leżała, rozmyślając, jak bardzo jest cnotliwa!

Szakał także wybrał się do lasu w poszukiwaniu jedzenia. I on „znalazł” w szopie leśnika dwa rożna, sporą jaszczurkę oraz dzban kwaśnego mleka. Trzykrotnie zawołał:

— Do kogo należą te rzeczy?

Nie znajdując „właściciela”, założył sobie na kark sznur, aby unieść dzban, chwycił rożen i jaszczurkę i zaniósł je do swojej jamy, myśląc: W odpowiedniej chwili będę miał posiłek. Położył się, myśląc, jak bardzo był dziś cnotliwy.

Małpa także zapuściła się w kępę drzew mango, zbierając naręczne owoców, które zaniósła do swego legowiska. Ona też uważała, że cnotliwie spędziła dzień. W pewnym momencie Bodhisattwa wyłonił się z zarośli, chcąc pożywić się trawą kuśa. Później, gdy się najadł, pomyślał: Niemożliwe, abym osobom chodzącym po prośbie proponował trawę, a przecież nie mam sezamu, ryżu i nic takiego. Jeśli pojawi się jakikol-

wiek żebrak, powinienem mu zaoferować raczej moje własne ciało do zjedzenia.

Na ten wspaniały przejaw szczodrości, bijący w niebo niezwykłym blaskiem, bogowie zainteresowali się zającem — istotą o tak wielkim sercu. Postanowili sprawdzić, czy wszystkie zwierzęta z tego lasu są tak niezwykłe.

Jeden z nich przebrany za bramina stanął przed jamą wydry, a zapytany o przyczynę przybycia odpowiedział:

— Pani, gdybym mógł dostać coś do jedzenia po przestrzeganiu postu, mógłbym wykonywać wszystkie moje obowiązki ascety.

Wydra wypowiedziała wtedy te wersy:

Siedem czerwonych ryb
bezpiecznie wyłowiłam z Gangesu.
Braminie, jedz je, proszę,
i zostań w lesie.

Następnego dnia udał się do szakała, a gdy ten zapytał o powód przybycia, bramin udzielił tej samej odpowiedzi. Szakał poszedł do swej jamy i powiedział te słowa:

Jaszczurka oraz dzban kwaśnego mleka,
wieczorny posiłek strażnika,
Dwa rożny pieczonego mięsa,
które bezprawnie ukradłem,

To wszystko, co mogę ci dać;
braminie, jedz proszę,

I zechciej łaskawie zostać
z nami w lesie.

Na koniec udał się do małpy która też go poczęstowała,
mówiąc:

Lodowaty potok, dojrzałe mango,
przyjemny cień w zieleni,
Możesz się tym cieszyć,
jeśli zamieszkaż na leśnej polanie.

Na koniec bramin udał się do zająca. Ten odparł:

— Braminie, dobrze zrobiłeś, przychodząc do mnie po jedzenie. Dziś obdaruję cię skarbem, którego nigdy wcześniej nikomu nie dałem, ale nie możesz złamać moralnego prawa, odbierając zwierzęciu życie. Idź, przyjacielu i kiedy nazbierasz już drewna i rozpalisz ogień, przyjdź i mi o tym powiedz, a ja poświęcę się, wskakując w środek płomieni, a kiedy moje ciało upiecze się, powinieneś zjeść moje mięso i wypełnić wszystkie obowiązki ascety.

Wtedy to cudowne moce sprawiły, że pojawiło się ognisko, aby zając mógł spełnić swą obietnicę. Ten wyszedł z jamy, otrząsnął się trzy razy, aby zrzucić insekty siedzące w futrze. Przecież one powinny uniknąć śmierci. Potem oferując swoje ciało jako dar, wskoczył w żar z płonącego drewna. Ale płomień nawet nie tknął sierści Bodhisattwy. Wtedy zwrócił się do mnicha:

— Braminie, ogień, który rozpałeś, jest lodowato zimny; nie spalił nawet sierści na mojej skórze. Co to znaczy?

— Nie jestem braminem, tylko wysłannikiem niebios i przyszedłem, aby sprawdzić twoją cnotę. O mądry zająco, bądź cnotą znaną na całym świecie.

Później wysłannik niebios namalował znak zająca na kuli księżyca. Do dzisiaj możemy go tam oglądać.

Asceta

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu, gdy w Benares rządził król Brahmadatta, Bodhisattwa urodził się w rodzinie bramińskiej. Gdy dorósł, studiował pod okiem znanego na całym świecie nauczyciela w Taksasili. Poznał Trzy Wedy i Osiemnaście Gałęzi wiedzy. Kiedy zakończył wieloletnią edukację, zdecydował się zostać ascetą i znaleźć siedzibę pod Himalajami. Studiował tam nadal wtedy, pościł i umartwiał się. Tak jak chmury potrafią równo obdarzać swym życiodajnym deszczem pola uprawne i nieużytki, tak on roztaczał swoją wiedzę nie skąpiąc jej nikomu, ani bogatym, ani biednym. Nikomu też nigdy nie odmawiał pomocy ni wsparcia i udzielał go w miarę swoich skromnych możliwości. W jego pustelni zawsze można było dostać miseczkę zupy z tego, co sam zbierał w lesie lub z niewielkich datków, jakie dawali mu proszący o poradę strapieni pątnicy. Nigdy nie szczędził swego czasu, aby pomagać ludziom rozwiązywać ich zawile dylematy moralne. Był skłonny opiekować się całym światem, choć sam nie miał przy sobie żadnej życzliwej duszy. Któż zresztą wytrzymałby tak srogą ascezę,



wyrzeczenia, niedostatki i biedę? I choć w ascezie nie miał w owym czasie sobie równych to jednak jego sława jako bezinteresownego darczyńcy wyprzedzała nawet sławę jego ascezy.

Jego wielka przenikliwość i jasny rozum mówiły, że zwykłe rodzinne życie wieśniaka, rzemieślnika czy kupca nie jest dla niego. Musiałby, będąc w roli męża lub ojca, troszczyć się o dostatek, wygodę rodziny a przecież człowiek zabiegający o jakiegokolwiek ziemskie dobra jest wystawiony zawsze na skryte podszepty szatana i łatwo może zejść ze ścieżki wytrwałej cnoty. Życie przeciętnego człowieka jest zawsze tarczą zmartwień, niepokojów o doczesność, źródłem cielesnych pożądań i rywalizacji.

Żyjąc samotnie na pięknej wyspie, nad brzegiem turkusowego morza, w pobliżu lasów pełnych owoców i innych pożywnych roślin, ze strumykami pełnymi krystalicznej wody, w samodzielnie wykonanym szałasie, nie musiał się troszczyć o pieniądze, dostatek ani o przyszłość rodziny. Okoliczne ludy, mieszkające na stałym lądzie, były dumne, że święty mąż wybrał ich wyspę jako swoją życiową przystań. Nawet żyjące po lasach bestie wiedziały, że jest on kimś wyjątkowym i niezwykłym.

Bogowie uznali, że w tak idyllicznym otoczeniu łatwo być ascetą i łatwo dzielić się pożywieniem, którego wokół było pełno. Śakra — jeden z boskich Aditjów — postanowił ascetę poddać próbie cnoty. Za jego przyczyną na wyspie zabrakło wszelkiego pożywienia. Drzewa i krzewy przestały owocować, zmarniały pożywe bulwy i inne jadalne korzenie. Zwierzęta opuściły wyspę, w okolicznych wodach nie było ryb. Ludzie przestali też przyplwać i tylko nieliczni odwiedzali ją, aby

spotkać się z ascetą i dostać jego pożywienie. Biedak wychudł i przypominał szkielet, mimo to emanowała z niego energia, jak z księżyca, który zbliża się do pełni. Żywił się tylko liśćmi i jak zwierzęta — trawami. Odwiedzający zawsze dostawali jako poczęstunek zupę z liści i nikt nie narzekał. Błogosławieństwa i przyjazna obecność świętego męża wynagradzały im wszelkie trudy. Wtedy Śakra zdecydował, aby drzewa i krzewy straciły liście. Wokół, w lesie i na łące, nie widać było ni zielonej plamy. Asceta zaczął zbierać dawno opadłe zeschnięte liście. Żywił się nimi i przyrządzoną z nich zupą częstował coraz rzadziej odwiedzających go pielgrzymów. Ani na chwilę nie wyczerpało się w nim źródło współczucia dla innych, potrzebujących i cierpiących. Wszystko, co dostał od nielicznych odwiedzających oddawał innym, dla siebie pozostawiał tylko zeschnięte liście i spokojne otoczenie na wyspie.

Śakra postanowił wreszcie sam odwiedzić ascetę. Stał przed nim pod postacią jednego z ubogich pielgrzymów. Tak jak każdy został poczęstowany zupą z suszonych liści, przyprawianą wodą morską. I o dziwo była ona smaczna i jadło się ją z przyjemnością. Odwiedzał go jeszcze przez dwa kolejne dni i zawsze był przyjmowany z dużym respektem, serdecznością i zawsze goszczony, na tyle na ile, starczało pustelnikowi suchych liści na zupę. Widząc niewzruszoną życzliwość pustelnika, Śakra postanowił się ujawnić i na koniec przybrał swą właściwą boską postać. Rzekł:

— Dobry człowieku, ja i inni bogowie w niebie obserwujemy cię od dłuższego czasu. Nie możemy wyjść ze zdziwienia dla twojej wytrwałości w ascezie i życzliwości dla wszystkich istot. Jak to się stało, że zrezygnowałeś z życia rodzinnego,

które dostarcza stale wam, śmiertelnym, tak wielu pozytywnych podniet. Pobudza do starania się o szczęście własne i bliskich. Jest siłą napędową waszych działań, satysfakcja za mozoły i trudy, nagrodą za wyrzeczenia. Jeśli możesz mi na to odpowiedzieć, to zaspokoisz moją i bliskich mi niebiańskich istot ciekawość.

— Panie, wszak zgodzisz się ze mną, że koło wiecznych narodzin jest zazwyczaj naturalnym źródłem cierpienia. Starość, choroby i wszelkie ciągle powtarzające się ułomności związane z tym faktem są też przyczyną cierpień istot odradzających się. Ja dzięki wyborowi drogi ascezy staram się temu zapobiec, a przekazując wiedzę o możliwości uniknięcia cierpienia, pomagam innym istotom śmiertelnym.

Śakra zrozumiał intencje świętego męża. Uznał je i postanowił go wynagrodzić za niewzruszone trwanie we współczuciu dla świata. Powiedział:

— Święty mężu. Przekonałeś mnie. Chciałbym w nagrodę spełnić jedno twoje życzenie. Powiedz je, a otrzymasz odpłatę za twą stałość.

— Panie, chciałbym na zawsze wyzbyć się pragnienia, które niestety mnie jeszcze od czasu do czasu nachodzi, pragnienia, aby mieć rodzinę, żonę i dzieci, spokojny i dostatni dom. Chciałbym, aby nigdy już nie nachodziła mnie taka słabość.

— Czcigodny asceto, szlachetne jest twoje życzenie — powiedział Śakra. — Spełnię je z przyjemnością, a nawet jestem gotów spełnić twoją jeszcze jedną prośbę.

— Boski wysłanniku, dziękuję za twoją szczodrość — odparł asceta. Chciałbym jeszcze, aby nigdy w moim sercu nie mogła obudzić się niechęć do kogokolwiek. Z niej bowiem lęgnię się

nienawiść, która podstępnie jak wróg potrafi opanować ludzkie serce. Nie chciałbym nigdy zaznać takiego uczucia.

— Święty mężu, ja i inne niebiańskie istoty, podziwiamy twe cnoty i skromność oraz szlachetne postępowanie i współczucie dla wszelkich cierpiących istot. Z przyjemnością spełniam twoje skromne życzenia. Żyj dalej w spokoju na swej pięknej wyspie, która odrodzi się w swym pięknie i dostatku, aby służyć tobie i wszelkiemu stworzeniu.

Król Mitribala

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa urodził się jako król o imieniu Mitribala. Jego sława władcy sprawiedliwego i wrażliwego na los każdego poddanego, ba, nawet każdego stworzenia w królestwie była powszechnie znana, ceniona i rozchodziła się po całych Indiach jak kręgi po wodzie. Monarcha od dzieciństwa rozwijał w sobie cnoty współczucia, szczodrości i niepoddawania się żadnym złym własnym emocjom ani spokój burzącym podszeptom ze strony otoczenia. Jego miecz był raczej ornamentem władzy, którą sprawował, niż atrybutem wojownika. Nigdy w czasie długiego panowania nie splamił go niczyją krwią. Nawet wobec krnąbrnych poddanych był jak surowy, lecz sprawiedliwy i wybaczący ojciec. Otoczony był powszechną miłością i szacunkiem. Rządził krajem potężnym, o sprawnej armii, która, na szczęście, spędzała czas tylko na ćwiczeniach i nie musiała stawać do boju.

Pewnego razu pięciu jakszów, z rodu tych przeklętych, zabłąkało się do królestwa Mitribali. Te złe istoty zwykły pobudzać ludzi do czynów niecnym, gwałtownym, kończącym się z reguły awanturami i bójkami. Ich pożywieniem była prze



lana krew i zwłoki poległych od krwawiących ran. Rozglądali się pilnie na wszystkie strony wielkiego królestwa. Nikogo jednak nie mogli podburzyć do walki lub skrytobójstwa. Lud był radosny, spełniony. W kraju panował dostatek i sprawiedliwość. Popędliwym poświęcano sporo czasu na tłumaczenie i przedstawienia sprawiedliwych racji. Wygaszano w zarodku wszelką gwałtowność, chęć zemsty, czy inne niebezpieczne dla porządku zachowania. Przywódca tej szajki jakszów rzekł do pozostałych:

— To dziwne! Ci ludzie przecież nie wyróżniają się specjalną mądrością ani wiedzą. Nie są zaślepieni w żadnej srogiej religii a mimo to nie możemy ich pobudzić do działania, aby utoczyli trochę krwi swych krajan. Nasze wszystkie wysiłki, nasz spryt i doświadczenie tu nie działają. Co się tu dzieje?

Postanowili „zasięgnąć języka” u jednego z mieszkańców dziwnego kraju. Zobaczyli pasterza siedzącego w cieniu drzewa na pobliskiej polanie. Zapytali:

— Pasterzu, nie boisz się siedzieć sam w tak odległym od ludzkich siedzib miejscu? Przecież tutaj, mógłby cię ktoś napaść, zabić i zabrać stado!

— Dlaczego miałbym się bać? — pytał zdziwiony pasterz.

— Czy nie słyszałeś o zbójcach lub złych duchach: niecnym jakszach, demonach albo gulach, żywiących się ludzką krwią i ciałem?

— Widać jesteście tu zupełnie obcy — odparł chłopak. — W naszym kraju nie ma złoczyńców, a złe duchy nie mają dostępu do ludzi o szczerych sercach, do przestrzegających naturalnego prawa ani do bogobojnych. Tak więc, nic mi tu nie grozi. Ludzi, których chroni talizman dobroci, współczu-

cia dla innych i dobrych uczynków, nawet bogowie nie są w stanie skrzywdzić, a cóż dopiero jakieś poślednie demony.

— Powiedz, chłopcze, o jakim talizmanie mówisz? Co jest twym talizmanem?

— Nie co, lecz kto — odparł pasterz. — Talizmanem chroniącym wszystkich jest u nas nasz król Mitribala. Jego serce jest wielkie i złote, jak ogromna góra. Twarz jego promienieje dobrocią, jak jesienny księżyc. A silny jest jak boski byk Nandi. On jest owym chroniącym nas talizmanem!

— Drogie chłopcze, skąd wasz król posiadał tak wielką, nadnaturalną siłę?

— Cnota jest jego siłą — odparł młody człowiek. — Dobra dharmą jest jego zabezpieczeniem, a bogactwem niewzruszony honor. Poddani go błogosławią, modlą się za niego, co czyni go jeszcze silniejszym.

Jakszowie postanowili poznać tego króla, za którego przyczyną od czasu przebywania w tym przeklętym kraju cierpią pragnienie i głód. Udali się na dwór pod postaciami jałmużników. Król Mitribala przyjął ich życzliwie, jakby byli długo oczekiwanymi gośćmi. Zlecił też kucharzowi naszykować dla nich jedzenie wedle upodobania. A gdy kucharz naszykował im wybór swych najlepszych dań, oni patrzyli na nie z takim apetytem, jak tygrys na trawę. Zaniepokojony wydarzeniem król zaprosił ich do siebie i zapytał:

— Czy jesteście chorzy, święci mężowie, czy może wasze posty są tak srogie, że niczego nie chcecie tknąć?

— O, monarcho o lotosowych oczach! Panie, którego modlitwy zawsze są spełniane przez niebiosy. My należymy to takiego gatunku jakszów, które żywią się świeżą krwią i mięsem ludz-

kim. Jednak w twoim królestwie nigdzie nie natrafiliśmy na przelewaną krew ani dopiero co zabitego człowieka. Zginiemy tu z głodu i będzie to niebawem.

Na potwierdzenie tego pokazywali, jak są wychudzeni, włosy im wypadają, zapadłe w głąb oczy straciły blask, a skórę mieli nienaturalnie pomarszczoną. Król przyglądał im się uważnie. Pomyślał: To są gule, niezbyt dobre duchy, które rzeczywiście do życia potrzebują ludzkiej krwi i mięsa. Co mam z nimi zrobić? Jeszcze kilka dni i wszystkie pomrą na mej gościnie. Skąd wezmę dla nich niezbędne świeże jedzenie? Oni zwrócili się przecież do mnie o pomoc! Chyba odkroję kawałek swego ciała i tym ich poczęstuję. Ciało jest przecież tylko tymczasowo nam dane. Sprawia ono zazwyczaj człowiekowi tylko zbędne kłopoty. Przysparza bólu, głodu i jest siedliskiem wszelkich chorób i zmartwień. Jeśli tylko tego potrzebuję, aby wypełnić święte prawo gościnności, to przecież nie jest wiele. Zawołał natychmiast medyka, aby ten utoczył z niego trochę krwi i odciął mu rękę. Biedny sługa, gdy usłyszał królewskie życzenie natychmiast zemdlął i nie można go było docucić. Wzburzeni ministrowie zaczęli tłumaczyć władcy niestosowność jego życzenia. Jeśli zemrze z powodu ran, co stanie się z jego królestwem? Kto poprowadzi naród? Kto będzie im wskazywał w przyszłości właściwą drogę postępowania? Będą pozostawieni jak stado owiec bez opieki we wrogim świecie wilków. Król słuchał wypowiedzi doradców z uwagą. Odparł jednak:

— Jeśli ja pierwszy złamię naczelną zasadę gościnności, to kto będzie ją stosował w przyszłości? Jeśli wyjmie się jeden kamień z fundamentów prawa, to jak ma stać cały gmach? Nie

mogę odstąpić od swego zamiaru. Przyprawdźcie żołnierza zaprawionego w bojach i nawykłego do widoku krwi, jeśli mój medyk jest do tego nienawykły!

Jednak nie znaleziono żadnego wojaka, który chciałby okaleczyć tak dobrego władcę. Zdesperowany król wyciągnął miecz i zamierzał sam odrąbać sobie drugą rękę. W tym momencie zadrżała ziemia, z gór zaczęły toczyć się lawiny kamieni, morze wystąpiło z brzegów. Królowi miecz wypadł z ręki i padając na marmurową posadzkę pękł na dwie części. Pojawiły się ciemne chmury i z nieba zaczął spadać deszcz błyskawic. Zaniepokojeni bogowie posłali na ziemię Śakrę, aby zobaczył, jaki jest powód tak wielkiego poruszenia natury. Cóż za wielka niegodziwość tam się dzieje? Śakra zastał opisaną powyżej mrozącą krew w żyłach sytuację. Zwrócił się uprzejmie do króla:

— Królu Mitribalo, widać nie wszyscy w niebie uwierzyli w twoją niezachwianą cnotę i umiłowanie prawa. Zapewne chcieli cię wypróbować. Ale było to zupełnie zbędne, bowiem ani ja, ani Brachma czy Indra ani przez chwilę nie wątpiliśmy w ciebie. Wy zaś niegodne jaksze, bezmyślne narzędzia w czyimś zamyśle oddalacie się natychmiast z tego miejsca! Nic tu po was! Na ciebie zaś panie, czeka wiecznie kwitnący ogród w mym królestwie.

Księżę Wiśwantara

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa urodził się w królewskiej rodzinie w Mithili jako księżę Wiśwantara. Jego ojciec, król Sandżaja, słynął z łagodności i roztropności. W kraju panował dostatek, a ludzie, którzy z powodu wypadków losowych popadali w biedę, zawsze znajdowali oparcie w rozbudowanej sieci wsparcia dla potrzebujących. Nadworny riszi przepowiedział królewskim rodzicom, że będą mieli nadzwyczajnego syna. Zdziwili się jednak, kiedy w kilka dni po porodzie osesek poprosił matkę, aby dała mu drobne monety, bo chce je rozdać ubogim. Kiedy miał dziesięć lat, skłonny był ofiarować nawet swoje serce i ciało na ofiarę dla potrzebujących. Kiedyś rodzice podarowali mu cudownego słonia spełniającego wszystkie prośby i stanowiącego podstawę bogactwa całego królestwa. Kiedy jednak sąsiedni kraj nawiedziła susza i ludność popadła w nędzę, szczodry królewicz natychmiast oddał im swoją wielką maskotkę. Tego mieszkańcom Mithili było już za dużo. Wielu czcigodnych mężów udało się na królewski dwór i poskarżyło:



— Panie nasz, ofiarowanie potrzebującym żywności, odzienia, bydła, a nawet części zbiorów jest chwalebne i godne następcy tronu. Jednak oddanie im symbolu majestatu królewskiego — białego słonia — to rzecz niesłychana. Przekracza to wszelką miarę dobroczynności, jest raczej postępowaniem niegodnym przyszłego króla. Słoń ten symbolizuje potęgę naszego kraju i jego pomyślność, a nie jest błahostką, którą lekką ręką można dać biedakom.

Na tym spotkaniu apelowano do rady królewskiej, aby bacznie przyjrzała się postępowaniu królewicza. Na końcu wymogli na królu, pod groźbą rewolty, wygnanie syna, a jako powód podano jego rozrzutność. Razem z Wiśwantarą na wygnanie udała się jego żona i dwoje dzieci. Nawet teraz zubożały książę nadal nikomu nie potrafił odmówić pomocy. Swój wóz i rumaki oddał napotkanemu biednemu wędrowcowi. Innemu staremu i schorowanemu braminowi oddał do pomocy swoje dzieci. Twierdził, że człowiek ten bardziej od niego jest w potrzebie.

Gdy szlachetny książę wygnaniec wędrował przez kraj:

Drzewa zginały przed nim swe gałęzie,
tak jakby chciały go częstować owocami
i pozdrowiały swymi skłonami.
Jeziora przyozdabiały się kwiatami lotosów,
zawsze, ilekroć pił z nich wodę.
Chmury, w największe upały
lekką bryzą studziły wędrującego.

Bramin, któremu do posługi książę oddał dzieci, źle je traktował i bił, zmuszając do ciężkiej pracy. Zachowywał się nie-

ludzko i bogowie nie chcieli dłużej tego tolerować. Przegnali kapłana precz, nasyłając na niego dzikie bestie. Dziećmi zaopekowali się mieszkańcy Mithili. Dopiero teraz zrozumieli swoje niesprawiedliwe zachowanie. Wszak książę Wiśwantara nikomu nie potrafił odmówić pomocy. Sprowadzili go ponownie do kraju z poniżającego wygnania i po latach został ich królem.

Poświęcenie

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa był królem w kraju, gdzie tron dziedziczony był już od wielu pokoleń. Czasy były spokojne i ani ludność królestwa, ani sąsiedzi nie przysparzali poważniejszych problemów. Władca traktowany był jednak jako bohater. Potrafił bowiem przewyciężyć wszystkie ludzkie słabości i był jak probierz wszelkich cnót. Wyzbył się pożądlivosti, umiał opanować burzącą krew zmysłowości. W sądach sprawiedliwy, w zabawach umiarkowany, w rzadko wymierzanych karach skłonny zawsze do wybaczenia, do dawania oskarżonym szansy poprawy, potrafił jednakowym szacunkiem darzyć wszystkich ludzi. Mierzył ich jedną miarą, miarą ich cnoty.

Ten kraj, niepodobny do istniejących wokół, siedlisko spokoju, sprawiedliwości i dobrobytu, chyba przez kaprys losu nawiedziła sroga susza. Król opróżnił własne magazyny, a nawet wojskowe spichrze ze wszystkich zapasów jedzenia. Kiedy jednak po pewnym czasie głód znów zaczął się dawać poważnie we znaki ludności, władca zaprosił na naradę wszystkich waż



niejszych ministrów, znanych kapłanów i zacniejszych obywateli kraju. Składano na ołtarzach wiele wspaniałych darów, odmawiano bezustannie najważniejsze wedy i silne mantry, lecz wszystko to nie przynosiło oczekiwanego rezultatu — upragnionego deszczu. Wszyscy zebrani doradcy doszli do wniosku, że tylko jakieś wyjątkowe poświęcenie czy ofiara ze strony samego władcy może odmienić tragiczny los ich ojczyzny. Myśleli oni o złożeniu wielkiej liczby zwierząt na ołtarzach, wręcz o hekatombach biednych stworzeń. Król nie był zadowolony z tego typu rad. Myślał: Jak może zabicie jakiegokolwiek biednego zwierzęcia, mimo wielowiekowego zwyczaju, odmienić los innych żyjących stworzeń? Jak mogą one przed tronami bóstw prosić o szczęście swych zabójców? Odpowiedział więc doradcom dyplomatycznie:

— Moi drodzy, dziękuję wam za troskę, jaką wykazujecie, spotykając się tu i spędzając długie godziny bez odpoczynku na doradzaniu waszemu zatroskanemu monarsze. Zawsze będę pamiętał waszą dobrą wolę i gotowość służenia mi radami. Z tej jednak nie mogę skorzystać. Przez całe życie starałem się dbać nie tylko o mój lud, ale o wszystkie żyjące w kraju istoty. Teraz nie mogę zgodzić się na hekatombę zwierząt ofiarnych, to byłoby przeciwne memu sumieniu. Jeśli jednak potrzebna jest nadzwyczajna ofiara, to powinniśmy my, ludzie, się poświęcić. Rozkazuję więc przygotować się do tej ceremonii dokładnie. Musimy wybudować hol ofiarny z wielkim ołtarzem. Należy wybrać tysiąc mieszkańców z miast i wsi, z których każdy miał w przeszłości coś na sumieniu, i z nich złożymy ofiarę! O wyborze właściwych osób zdecydują moi szpiedzy.

— Panie — wystraszyli się doradcy — czy nie lepiej byłoby pozabijać ich osobno i po cichu. Tysiąc poddanych za jednym razem, to może wywołać rozruch i niepokoje w kraju.

— Nie lękajcie się — powiedział monarcha — ja im wytłumaczę tę konieczność. Mój lud mnie zrozumie.

Heroldzi ogłosili w całym kraju proklamację królewską, że od tej pory obserwowane będą i badane uczynki wszystkich ludzi w państwie, gdyż niezbędne jest znalezienie właściwych osób do przeprowadzenia wielkiej ofiary w intencji sprowadzenia deszczu i odwrócenia klęski głodu. Ludność cała, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaprzestała wszelkich, najdrobniejszych nawet złych uczynków. Na każdym kroku mieszkańcy prześcigali się w łaskawości, życzliwości i dobroci. Mimo usilnych starań szpiegów nie udało się nikogo wytypować na ofiarę. Zmartwieni wrócili do króla i powiedzieli o swej bezsilności, obiecali jednak, że nie ustaną w dociekliwości. Król odparł im w obecności ministrów:

— Cieszę się, moi drodzy, że dołożyliście wiele trudu, aby sprostać zadaniu. Ludzie się jednak naprawdę zmienili. Trzeba im to wynagrodzić. Od dzisiaj codziennie wszyscy moi dworzanie będą rozdawać pieniądze i inne dobra zgromadzone w naszym skarbcu. Będą to czynić w miastach, na wsiach i na drogach, wśród wędrujących pielgrzymów.

Równoległe do tej akcji zaobserwowano narastanie ciemnych chmur na horyzoncie, które nabrzmiewały coraz bardziej, aż napływając bliżej nad obszar królestwa, otworzyły swe tamy i woda z całym impetem długo wyczekiwanego monsunu spadła potokami deszczu. Zazieleniły się pola, błotniste połacie wyschniętego gruntu zamieniły się w jeziora pełne szmaragdowej

orzeźwiającej wody. Ziarna spętane grudami suchej ziemi wystrzeliły w górę. Na wymęczonych drzewach pojawiły się pąki, a później dorodne kwiaty, obiecując dostatek owoców. Wszyscy wiedzieli, że stało się to dzięki akcji, jaką podjął król. Wtedy przemówił on do ludu:

— Moi drodzy poddani. Gdybyśmy zgodzili się na hekatombę zwierząt, być może następnym krokiem byłoby składanie ludzi na ołtarzu ofiarnym. Sami zobaczyliście, do jakiego absurdu może to doprowadzić. Zmieniliście się zdecydowanie pod wpływem lęku. Staliście się dobrzy, wspaniałomyślni, współczujący bez wiszącego miecza nad głowami. Nie dla pozorów, ale w przekonaniu o słuszności takiego wyboru. Zabijanie zwierząt bez wyraźnej potrzeby nigdy nie przynosi chwały ani pomyślności. Musicie też wiedzieć, że praktykowanie cnót, współczucia i dobrych uczynków przynosi zawsze dobro.

Śakra

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa po wielu pomniejszych wcieleniach, w uznaniu zasług i samoopanowania, współczucia dla biednych i potrzebujących, narodził się jako jedno z bóstw niebiańskich, jako mocarny Śakra. Patrolował ziemię i niebiosy, nagradzając sprawiedliwych i napominając grzeszących. Peany na cześć jego chwały we wszechświecie nie ustawały. Tego było już za dużo dla gromady demonów. Postanowiły one zapomnieć o dzielących je sprawach i zjednoczyć swe siły w wojnie z owym królem dobroci. Zebrały olbrzymią armię pomniejszych szkodników, zgromadziły wiele potężnych słoń bojowych, rydwany zaprzężone i parskające ogniem rumaki, całą możliwą do zjednoczenia konnicę i piechotę złożoną z gulów, złych jakszów i wampirów. Już samo gromadzenie się tej armii wywołało na ziemi tumult tak wielki, jakby nią potrząsały wielkie siły tkwiące w jej wnętrzu. Bitwa miała się rozegrać na szerokiej plaży, gdzie w oddali widać było wzburzone morze.

Śakra miał złocisty rydwan zaprzężony w tysiąc najlepszych wyselekcjonowanych rumaków bojowych. Sam pojazd był ze

szczerego złota wysadzany diamentami. Bóstwu towarzyszyła armia arhatów i dobrych duchów. Gdy na początku nastąpiła szarża i zwarcie się słoni bojowych obu armii, znów zatrzęsła się biedna ziemia. Grozy dodawały jeszcze dudniące po obu stronach wielkie wojskowe bębny. Uderzające o siebie z potwornym zgrzytaniem wozy bojowe wydawały błyski i odgłosy piorunów w straszliwej burzy. Słonie z przeciwległych armii zwały się z wielkim impetem na siebie jak spadające skały. Wielka była siła armii demonów. Ustępowały jej stopniowo siły bóstwa, tylko jeden rydwan Śakry przebijał się przez zastępy wroga. Po pewnym czasie był już otoczony wrogami. Matali, woźnica złotego rydwanu, widząc manewry zwyciężającej armii wroga, zawrócił pojazd i miał zamiar zjechać z pola bitwy. W pewnym momencie, już chroniąc się przed demonim tłumem, Śakra zobaczył na mijanym drzewie sokole gniazdo. Krzyknął do woźnicy:

— Zawracaj, zawracaj! Ta fala wrogiego wojska zniszczy gniazdo ptaka, a tam na pewno o tej porze są młode, niezdolne do lotu. Musimy obronić ptaki przed zagładą!

— Panie — krzyknął woźnica. — Taki manewr zgubi nas samych. Nie wracajmy!

— Tak czy inaczej, zawracaj!

I wtedy tyśiąckonny rydwan natarł na wrogów jak rozwścieczony nosorożec. A kiedy ponownie wdarli się w tłum demonów, zadając razy na prawo i lewo, boska armia w odwrocie zatrzymała się. Po chwili uniesiona entuzjazmem wodza, zawróciła i całym impetem natarła na wroga. Złamany został duch bojowy demonów, które rozpierzchły się w panice. Tak to, współczucie dla biednych, małych i zagrożonych odwróciło losy wielkiej bitwy, a może nawet losy świata.

Uczeń i jego guru

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa urodził się w rodzinie uczonego bramina i sam też został hinduskim kapłanem. Zgromadził wokół siebie pewną liczbę uczniów, którzy pilnie słuchali jego wykładów, uczyli się medytacji i wzorowali na jego postępowaniu. Wszyscy chłopcy pochodzili z dobrych domów, byli zdolni, pilni i w prowadzonych dyskusjach umieli wyciągać prawidłowe wnioski. Gdy minął rok, nauki bramin pomyślał, że czas poddać uczniów praktycznemu egzaminowi i sprawdzić jak dalece przyswoili sobie wykładane nauki.

Pewnego dnia podczas wykładów bramin zaczął napomynąć o swej biedzie, o niedostatkach, które dotyczą jego rodzinę, o marnym jedzeniu, jakie spożywać muszą jego bliscy, o tym, że nie jest w stanie, mimo usilnej pracy zaspokoić podstawowych potrzeb swych bliskich. Zaczął coraz częściej wspominać, że jego status wymaga trochę oznak dobrobytu, w przeciwnym razie ludzie mogą sądzić, że jest marnym nauczycielem. Mówił:

— Bramin, który nie jest dostatecznie szanowany przez otoczenie i cierpi biedę, w świetle ksiąg i starożytnych zwy-

czajów może nawet sobie przywłaszczyć bez grzechu obce rzeczy. Jeśli ludzie nie mogą mu ofiarować choć trochę luksusu, który wskazywałby na wysoką pozycję jego stanu, musi sam o to zadbać, a kradzież nie jest dla bramina niczym złym ani nadzwyczajnym. W przeszłości tak żyli niektórzy wielcy uczeni i nic to nie zaważyło na ich reputacji. Musicie wiedzieć — ciągnął — że ubóstwo bramina jest usprawiedliwieniem takich czynów. W najbliższym tygodniu, każdy z was ma coś niezauważenie ukraść i przynieść to jako ofiarę dla mnie.

Uczniowie słuchali tych wywodów ze zdziwieniem. Wierzyli jednak swojemu mistrzowi. Jeden z nich powiedział do kolegów:

— Nasz mistrz jest człowiekiem uczonym w pismach, zna prawo i tradycję. Na pewno wie, co mówi.

Zaczęli planować, rozglądać się wokół, co by tu ukraść nie-
spostrzeżenie i bez konsekwencji. Tylko Bodhisattwa siedział smutny, zdumiony, rozczarowany i zdecydował, że nic nie ukradnie. Siedząc, głowę zwiesił w dół, objął ją rękoma, aby nie słyszeć rozmów kolegów czyniących plany najbliższej kradzieży. Nauczyciel zachęcał chłopców do energicznego działania i bycia poza zasięgiem zwykłych ocen moralnych. Widząc brak entuzjazmu w zachowaniu swego najlepszego ucznia, powiedział:

— Ty, chłopcze, pewnie nie rozumiesz tego problemu, bo pochodzisz z zamożnej rodziny, a może nie jesteś dostatecznie odważny na takie przedsięwzięcie?

— Panie — odparł uczeń — jestem tak samo odważny jak inni. Jednak ze wszystkich twoich dotychczasowych nauk dostatecznie wynikało, że kradzież jest czynem niecznym, niegod-

nym żadnego człowieka, szczególnie ludzi z naszej kasty. Biedni mogą prosić króla o pomoc, której monarcha nasz nigdy nie odmawia. Można też liczyć na pomoc rodziny i sąsiadów. Wszędzie wokół są ludzie miłosierni. Najuboższemu wypada nawet wyciągnąć miseczkę z prośbą o jedzenie, ale nie kraść.

— Złudzeniem jest — ciągnął — że jakikolwiek ludzki czyn pozostanie niewidzialny lub niezauważony. Jeśli nawet w pobliżu nie ma innych ludzi to zawsze jest oko opatrności boskiej, widzącej wszystkie nasze, nawet najbardziej skrywane czyny. Poza tym kradnąc pod nieobecność innych ludzi sprawcą i świadkiem kradzieży jest sam kradnący. Jego sumienie też to widzi i ono właśnie najszybciej, dręczeniem i wyrzutami, zacznie go karać.

Guru, słysząc te słowa, cały rozpromieniony poderwał się z siedzenia i zakrzyknął:

— Nauka moja nie poszła na marne!

Objął w uścisku pilnego ucznia i krzyknął:

— Prawdziwa cnota nigdy nie schodzi ze swej ścieżki, nikt, ale to nikt na świecie nie powinien namówić was do niecznego uczynku! Moja zachęta była tylko waszą próbą. Dobrze, że choć jeden z was ją przeszedł bez szwanku. Praktyki ascetyczne, nauka i mądrość to jedyne bogactwo, jakiego potrzebuje uczciwy bramini i każdy doskonalący swą duszę człowiek.

Rzucająca urok

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa był królem Siwi. Rządził swoim królestwem rozsądnie, zwracając zawsze uwagę na potrzeby poddanych. Potrafił być wyrozumiały i wybaczący, nawet dla ludzi, którzy w swym postępowaniu zbłądzili, ale wyrazili skruchę. Władca cechował się głęboką mądrością, był przewidujący i zapobiegliwy, dlatego krajowi nie groziły okresy głodu nawet po nieurodzajnych latach. Ponadto starał się rozwijać u swych poddanych respekt dla obu światów — ziemskiego i boskiego, wychowywał ich jak kochający dzieci ojciec, darząc miłością i przyzwyczajając do rzetelnego wypełniania wszystkich powinności wobec rodziny i kraju.

W jednej z arystokratycznych rodzin w stolicy przyszła na świat dziewczynka o zachwycającej urodzie. Bijącym od niej czarem i delikatnością przypominała, niebiańską nimfę. Gdy dorosła, była przez to podobna do Śri — bogini pomyślności lub Rati, małżonki boga miłości — Kamy. Każdy, kto choć raz na nią spojrzał, tracił rozum z miłości. Z tego powodu nazywana była Unmadajanti — Czarodziejka. Ojciec poinformował



monarchę o nieskazitelnym pięknie córki i że jest ona klejnotem godnym władcy. Król zavezwał do siebie uczonych, znających mądrość ze wszystkich ksiąg i mających dużą wrażliwość na piękno. Powiedział:

— Moi drodzy, nigdy na waszych radach się nie zawiodłem. Idźcie, zobaczcie córkę tego zamożnego kupca i sprawdźcie, czy byłaby godna dostąpić miana królewskiej małżonki.

Ojciec dziewczyny chciał przygotować ją na tę wizytę, a raczej wizytację. Powiedział do niej:

— Mój piękny skarbie, przybędą do nas niebawem wysłannicy naszego władcy. Będą chcieli ocenić twoją urodę i maniery. Chciałbym, abyś sama usługiwała nam do stołu.

— Tak jest, ojczy — odpowiedziała dziewczyna i starała się należycie wykonywać swoje zadanie.

Goście oczarowani jej wdziękiem, powabną postacią, niewinnie spuszczonej w dół oczami, zostali wprost zauroczeni, doznali niepokoju i zamętu w sercach i umyśle. Jak mogli spokojnie jeść podawane potrawy, kiedy zapominali nawet sięgać po podawane smakołyki. Po kilku chwilach gospodarz zorientował się w przyczynach zamieszania i powiedział:

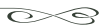
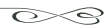
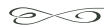
— Dziękujemy ci, moja droga. Teraz idź pomagać matce, a ja sam zajmę się moimi szanownymi gośćmi. — Później, do końca uczyty, usługiwał im sam.

Po wyjściu bramini zaczęli rozmawiać między sobą.

— Ta piękna dziewczyna ma czarownicą moc — mówił jeden.

— Jeśli została by nową żoną naszego władcy, to wywołałaby bunt wśród kobiet w haremie — powiedział drugi.

— Nasz władca na pewno straciłby dla niej głowę, zaniedbał sprawy państwowe i nie dawałby baczenia na nasze rady.



Po pewnym czasie w kraju zapanowałby chaos, gdybyśmy przestali radzić królowi — uzupełnił pierwszy z braminów.

Gdy wrócili do pałacu i zostali wezwani przed oblicze monarchy, powiedzieli:

— Panie, ta dziewczyna ma urodę, ale pospolitą. Ponadto jest ona zepsutym, kapryśnym i pustym dzieckiem. Nie warto nawet, panie, abyś ją oglądał, ponadto na skórze twarzy ma kilka drobnych znamion, które wskazują, że będzie miała pechowe życie i może przez to unieszczęśliwić mężczyznę, który się z nią zwiąże.

Ojciec dziewczyny, który został poinformowany o braku zainteresowania władcy jego córką, wydał ją niebawem za zakochanego w niej ministra o imieniu Abhiparaga. Jesienią tego samego roku, jak zwykle w czasie pełni księżyca, obchodzono w całym kraju uroczyste święto Kamundi, w czasie którego dziewczęta przebrane za gopi tańczą i płasają wokół młodzieńca przebranego za Krisznę. W czasie tego święta król, co rok odwiedzał stolicę. Miasto było wysprzątane, przybrane w girlandy kwiatów i flag. Mieszkańcy ubrani odświętnie spędzali czas na grach, zabawach i tańcach. Z całego kraju zjeżdżali wtedy aktorzy, kuglarze i opowiadacze dawnych mitów. Również władca wyruszał do miasta w całym swym majestacie. Jechał na rydwanie w złotym kolorze, przebrany w strojne szaty. Przed nim kroczyła pałacowa orkiestra, tuż za nim jechały, piękne jak kwiaty ze zdobnego bukietu, żony i damy dworu, a dalej maszerowało wojsko, również w galowych strojach.

Unmadajanti, od momentu odrzucenia jej przez władcę, nosiła w sercu skrywaną niechęć. Mówiła do swych służek:

— To było poniżające oskarżać mnie, że mam jakieś wady, czy przynoszące nieszczęście znamiona, że mam jakieś defekty!

Obrażona, włożyła najlepsze szaty i wszystkie ozdoby i tak stanęła na balkonie w pałacyku męża. Wszystkie dziewczęta z sąsiedztwa schroniły się do domów, aby nie porównywano ich urody z Czarodziejką. Nawet zazdrosne słońce kryło swoje złote lico wstydliwie za chmurą. Nie było piękniejszej i powabniejszej postaci kobiecej w całym mieście, a pewnie i w kraju. W pewnym momencie przejeżdżający dołem król spojrział, tam, gdzie wszyscy kierowali swój wzrok. I wtedy właśnie strzała Kamy ugodziła w jego serce. W haremie miał najpiękniejsze dziewczęta z całego kraju, znał wiele pięknych jak boginie kobiet w przeszłości, ale nigdy dotąd nie był tak poruszony urodą żadnej z nich. Kazał orszakowi zwolnić, aby lepiej przyrzeć się tej niezwyklej piękności. Nie mógł wprost oczu od niej oderwać, a i tak miał wrażenie głębokiego niedosytu. Toteż, gdy tylko wrócił do pałacu, natychmiast zawołał swego wezyra.

— Czyj to był dom o białych ścianach i tak ozdobnym balkonie? — nie czekając na odpowiedź, pytał dalej. — Kim jest, ta piękność, której czar mnie poraził?

— Panie, to pałacyk twego dworzanina, młodego Abhiparagi, a kobieta owa jest jego żoną i ma na imię Unmadajanti.

— Doprawdy zasłużyła na takie imię, jest prawdziwą Czarodziejką — z zachwytem powiedział monarcha. — Jej piękno, słodki uśmiech, delikatność naprawdę mnie zaczarowały.

Westchnął i powiedział:

Doprawdy, chciałbym ją już zapomnieć,

lecz widzę oczami wyobraźni.

Z przykrością muszę też wam dziś wspomnieć:

Czekam, jak nędzny niewolnik, kaźni.

Chociaż król wiedział, że nie należy pożądać cudzej żony, to jednak żądza jego rozpałała się płomieniem nie do ugazszenia. Wydawało się, że niedługo monarcha spłonie w nim. Przestał jadać, opuścił go sen, chodził jak senna mara po pałacu, pojękując co jakiś czas. Zaniepokoił się wszyscy dworzanie, wszak trudno było sobie wyobrazić lepszego władcę, lepszego ojca narodu. Abhiparaga kochał króla i wiedział, dlaczego cierpi jego szlachetna dusza. Prosił o posłuchanie, a gdy został dopuszczony przed królewskie oblicze, powiedział:

— Szlachetny panie, dziś rano, gdy modliłem się o twoje zdrowie i pomyślność, objawił mi się jaksza, wysłannik z nieba i powiedział: „Pewnie wiesz, że władca do szaleństwa zakochał się w Unmadajanti i tylko jego wrodzona szlachetność wstrzymuje go, aby ci jej nie zabrać?” Jeśli to prawda, panie, to proszę, oddaję ci ją i wiem, że decyzja moja jest właściwa, rozsądna i przychodzi mi ona bez bólu. Wszak, ty, panie, jesteś głową i sercem narodu. Bez twojej siły i równowagi wszyscy niebawem zginiemy. Wrogowie nas rozszarpią.

— Mój dobry Abhiparago, tak być nie może. Z bólem w sercu muszę odmówić twojej ofiary. Mój lud przecież będzie wiedział, że żyję w grzechu. Naruszyłbym zdrowe fundamenty naszego kraju.

— Mój panie, przecież nikt poza nami nie musi wiedzieć o tej umowie.

— Nie masz racji, mój zacny sługo. Wiem, jak szlachetnymi intencjami się kierujesz, poświęcając się dla mnie. Ale przecież grzech pozostanie grzechem, nawet jeśli grzeszymy samotnie. To tak, jakby pić w skrytości truciznę i oczekiwać, że będziemy zdrowi.

— Panie — nalegał dalej wierny dworzanie. — Jeśli przeskodzą jest fakt, iż jest ona moją żoną, to ją opuszczę, pozabawię wszelkich środków do życia, wtedy ty, panie, zaopiekujesz się nią, zrobisz dobry uczynek i nie będzie to grzech.

— Nie, nie, Abhiparago. Jeślibyś tak zrobił, musiałbym jako sprawiedliwy władca ukarać cię śmiercią, za tak niecny czyn. Nie możesz nawet o tym myśleć!

— Panie, wszak królowie są jednocześnie najwyższymi kapłanami i wyroczniami w kraju. Gdy będziesz odprawiać rytualne nabożeństwo, podaruję ci ją jako ofiarę. W takiej sytuacji nie możesz odmówić mi złożenia ofiary dla dobra i pomyślności kraju.

— Nie, nie, Abhiparago. Tak nie może być. Zła intencja powoduje złe, niestuszne myśli!

— Panie, zapewne wiesz, co głoszą wszystkie stare księgi. Największymi pasjami człowieka są: dharm, artha i kama; czyli dążenie do lepszego losu, do zamożności i miłości. Podążając tymi naturalnymi, wrodzonymi dla szlachetnego człowieka ścieżkami, postępujemy słusznie. Panie, oświadczyła cię miłość i masz prawo kochać, a moim obowiązkiem jest akceptować boskie wyroki losu.

— Nie, nie, Abhiparago. Tak nie może być. Jeśli sam nie potrafię opanować namiętności, to jak będę miał prawo oczekiwać tego od moich poddanych? Jeśli ktoś zapragnie coś innemu skraść, czy będę mógł go ukarać, postępując tak samo? Pozwól mi, wierny przyjacielu, kroczyć ścieżką mej dharmy, nawet gdyby miało to być bolesne. A teraz wracaj do żony!

Nawigator Suparaga

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa urodził się w rodzinie żeglarzy i sam został znamienitym kapitanem statku, znanym jako szczęśliwy nawigator, który w każdej sytuacji potrafił prawidłowo określić pozycję statku i dalszy kierunek podróży. Jego umiejętności opierały się na znakomitej znajomości pozycji słońca, gwiazd i prądów morskich. W zależności od sezonu potrafił podać prawidłowy kierunek rejsu lub kierunek wiatrów, jakie napotkają żeglarze. Wiedział, jak unikać zdradliwych płycizn, raf morskich lub szlaku, którym będzie przebiegał huragan. Nawet kiedy doszedł do sędziwego wieku, bywał dość często zapraszany by dowodził statkiem, zwłaszcza jeśli celem były odległe morza i wyspy na nich.

Zdarzyło się raz, kiedy dzielny kapitan od pewnego czasu korzystał z zasłużonego wielomiesięcznego wypoczynku, że przybył do niego bogaty kupiec z Sumatry, prosząc, aby poprowadził jego statek na powrót do domu. Dotychczasowi kapitanowie byli dość nieudolni. Statek błąkał się po obcych morzach długie miesiące, narażony na niebezpieczeństwa,



a część przewożonych towarów się popsuła.

— Panie, mówiono mi, że ja, załoga, statek i moje towary będziemy bezpieczni, jeśli ty obejmiesz dowództwo — uniżenie prosił Suparagę.

— Drogi gościu — odpowiedział żeglarz. — Mój podeszły wiek zasnuł mi bystre dotąd oczy, lekką mgłą. Ciężka praca, stałe zmęczenie i niewygody na morzu popsuły mi pamięć. Nieraz nie starcza mi sił, aby być, na co dzień samowystarczalnym i obchodzić się bez pomocy dobrych ludzi.

— Panie, obiecuję ci wszechstronną pomoc całej załogi. Wystarczy, abyś zajmował się nawigacją, a twoje doświadczenie w tej mierze jest bezcenne. Twoje wynagrodzenie będzie dwa razy większe, niż oferuje się innym kapitanom. Tylko się zgódź!

Suparaga kochał morskie wyprawy. Od wielu miesięcy nie był już na morzu. Lubił szum wiatru i łopotanie żagli. Lubił marynarzy, ich opowieści i śpiewy po wachcie. I nie podwójne wynagrodzenie, ale ambitny cel wyprawy przeważały szalę jego decyzji. Wyraził zgodę. Ponadto współczucie dla kupców, którzy nie mogą wrócić do domu, też na taką decyzję na pewno miało istotny wpływ.

Statek był już gotów do drogi, więc nie minęło wiele dni, gdy znaleźli się na bezkresnym oceanie południowym, gdzie ani wysepki żadnej nie było widać, ani ptaków nie było na niebie, za to morska kipiela stawała się coraz bardziej zawzięta i nieokiełznana. Na horyzoncie pojawiły się oznaki zbliżającego się sztormu. Woda zaczęła konwulsyjnie drżeć, aż wreszcie fale stawały się coraz większe i z potworną siłą uderzały w statek. Wielogłowe czarne chmury lunęły obfitym deszczem poprzez ciemną kurtynę, którą co chwila drążyły błyskawice.

Wydawało się, że za chwilę świat pograży się w nowym potopie i statek nie będzie miał szansy, nawet gdyby wyszedł z tej opresji cało, przybić gdziekolwiek, bo i lądu już nie będzie.

Okręt skrzypiał, stękał pod naporem mas wodnych. Odgłosy, jakie wydawał co chwilę przypominały ostatnie jęki konającego. Nadal jednak jakimś cudem, utrzymywał się na powierzchni. Suparaga po raz pierwszy zetknął się z taką siłą wrogiego żywiołu. Wydawał jednak polecenia utrudzonej załodze głosem donośnym i spokojnym. Natomiast kupcy byli sterroryzowani strachem. Kilku głośno lamentowało, na zmianę ze wznoszeniem błagalnych modlitw do wszelkich możliwych bóstw, inni osłupieli w zgrozie i nie odzywali się ani słowem. Kapitan nakazał wszystkim skupić się w jednej części statku, tak, aby nie przeszkadzali biegającym, jak opętani, po pokładzie majtkom. Mimo heroicznego wysiłku całej załogi kapitan nie był w stanie utrzymać obranego kursu. Okręt miotał się, jakby sam był trawiony gorączką, co jeszcze pogłębiało obawy załogi, że lada chwila przełamie się, a oni sami zostaną tylko strawą morskich potworów. Te, jakby tylko oczekiwały na tę chwilę, bo co jakiś czas w przepaściach, między wielkimi jak góry falami, pojawiały się jakieś monstrualne ich łby. Wydawać się mogło, że owe monstra urządziły sobie na oczach zastraszonej załogi festiwal radości i oczekują tylko, kiedy statek zacznie tonąć. Wydawało się że, konwojując statek ku nieuchronnej zgubie. Ten zaś, jakby popychany przez tabuny demonów, bezwładnie dryfował, aż znalazł się na nieco innych, ale tak samo wrogich, wodach Oceanu Olbrzymich Trzcina. Tu do wielu zagrożeń doszła jeszcze obawa, że za chwile roztrzaskają się o którąś z nich. Gdy po pewnym czasie z niego wypłynął,

lęki załogi i kupców nie zmniejszyły się, bo przed okrętem kłębiło się Morze Girland Kopyt, a były one wielkie i spiczaste jak górskie szczyty. Jedyne Suparaga wiedział, gdzie się znajdują, bo już kiedyś był w tych stronach i obiecał sobie wtedy, że żadna siła nie skusi go do powtórzenia podobnego rejsu. Pomyślał: A jednak dałem się skusić i będzie to niechybnie mój ostatni rejs!

Nie był to jednak koniec bolesnych doświadczeń dla statku i jego zdesperowanej załogi. Przepłynęli jeszcze przez Ocean Mleka, który był w stanie wzburzenia tak wielkiego, jakby właśnie ubijano. Czekają ich jeszcze Morze Ognistych Girland, po czym zapanowała na kilka chwil złowroga cisza. Kapitan z opowieści znał ten obszar oceanu. W tym miejscu woda płynęła w jedną stronę, stale ze zwiększającą się siłą. Wiadomo było, że na końcu wpada w czelusć bezdenną, która nazywa się Paszczą Mary — bóstwa uosabiającego zło świata i potępienie.

Wtedy Suparaga padł na kolana, podniósł ręce ku górze i zawołał:

— Oceanie! Niebiańscy Bogowie! Wszyscy wiedzą, że w ciągu mojego długiego życia nigdy, ani razu, nie skrzywdziłem żadnej żywej istoty! Jeśli moja dotychczasowa cnota, podobnie jak tysiące żyć innych bogobojnych ludzi, ma dla Was jakiegokolwiek znaczenie, a moje życie miało jakikolwiek sens, to pomóżcie mi teraz wyjść z opresji i uratować tych wszystkich, którzy mi zaufali! Pomóżcie mi wydobyć się z tego przeklętego prądu, który zatopi nas w Paszczy Mary!

Już po chwili burza nieco przycichła. Statek odzyskiwał powoli sterowność. Żagle zaczęły pęcznieć od sprzyjającego

wiatru. Stopniowo kierował się przeciw morskiemu prądowi płynącemu ku przepaści. Rozjaśniło się niebo. Teraz już szyper wiedział, w jakim kierunku ma zmierzać statek. Następnego dnia, przy spokojnym morzu, nakazał załodze zarzucić sieć. Gdy poczuli, że jest już dostatecznie obciążona, załoga z wysiłkiem ją wydobywała na wierzch. Okazało się, że sieć jest pełna cennych złotych przedmiotów, bogato wysadzanych szlachetnymi kamieniami. Było to tak, jakby morze chciało im zrekompensować przebyte trudy i lęki, a bogowie wykazać, że trwanie w cnocie zawsze będzie nagrodzone.

Napięte żagle, jak skrzydła olbrzymiego ptaka
niosły okręt pełen roześmianych ludzi.
Z nadzieją płynęli do celu,
a statek był jak wielki biały łabędź
sunący przestworzami.

Ryba

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa urodził się jako ryba. Wspólnie z innymi rybami mieszkał w dość dużym jezioru, którego woda, przejrzysta i klarowna, na wiosnę ustrojona była zawsze białymi i różowymi lotosami, gdzieniegdzie zmieszany z liliami. Bodhisattwa ze względu na swą roztropność i nieposzlakowany charakter został wybrany królem swych pobratymców. Zawsze mówił im, że wszystkie dobre uczynki, wspaniałomyślność wobec innych stworzeń powinny być przewodnim motywem życia i to nie bynajmniej dla jakiejś nagrody w przyszłym życiu, ale w czasie obecnym i bez myślenia o nagrodach:

Szlachetność przez jej praktykowanie
staje się częścią twego charakteru.
Działania takie, tylko dla przyszłego życia
są bezowocne, tak jak działania we śnie.

Bodhisattwa postępował wobec innych ryb tak, jakby był ich wyrozumiałym, kochającym, lecz sprawiedliwym ojcem.

Dzięki takiemu zachowaniu, wypływającym z miłości, udało mu się nawet wypłenić instynktowną drapieżność występującą u niektórych z nich. W wodach jeziora panowała zgoda i kwitł dostatek, pełno było też ruchliwego narybku, gwarantującego spokojną przyszłość jego mieszkańców. Rybie królestwo przypominało kraj dobrze prosperujący pod rządami sprawiedliwego i zapobiegliwego monarchy.

Nic jednak, co dobre nie trwa wiecznie. Spokój jest tylko pożądanym stanem przejściowym. Każda egzystencja jest jednak przecież wcześniej czy później doświadczana różnymi próbami, a niektóre z nich potrafią być doprawdy bolesne.

Tego roku w całym kraju panowała susza. Sądzić można było, że monsuny obraziły się na Indie i pognały życiodajne, niosące deszcze chmury w inną stronę świata. I tak piękne jezioro, kwitnące zazwyczaj o tej porze dywanami kwiatów kadamba, pozostało niespodziewanie bez tej ozdoby. Mało tego: jego wody straciły przysłowiową klarowność, zaczęły mętnieć, a pod wpływem okrutnego słonecznego żaru zaczęły wysychać. Już wkrótce wspaniałe jezioro zaczęło przypominać niewielką sadzawkę. Stawało się też coraz płytsze. Nie było już naturalnych głębokich miejsc, gdzie ryby chroniły się zazwyczaj przed wodnym drapieżnym ptactwem. Setki tych głodnych zaprzysięgłych nieprzyjaciół wodnego plemienia obsiadło okoliczne drzewa. Inne, na wysokich nogach, powoli kroczyły w wodzie przy brzegu i natychmiast łapały każdą zdobycz, która wypłynęła na płyciznę.

Rybi król popadł w głęboki smutek. Powiedział do swych pobratymców:

— Cóż to za nieszczęście! Dlaczego los zgotował nam tak

śmiertelnie niebezpieczne doświadczenie? Wszak woda, z dnia na dzień wysycha coraz szybciej, a żadna najmniejsza nawet chmurka nie zapowiada deszczu. Nie mamy gdzie uciec i do nikogo nie można się zwrócić o pomoc! Cóż mamy zrobić? Pomodlił się:

Osaczony ponurymi myślami,
jestem bez pomocy znikąd.
A przecież żyłem sprawiedliwie,
nie przypominam sobie,
abym kiedykolwiek coś złego zrobił innej istocie.
Klnę się na siłę tej prawdy,
niech dotrze ona do najwyższej istoty
i niech sprowadzi ona deszcz
na to biedne wysuszone jezioro!

Wielka ilość nagromadzonych przez rybiego króla zasług, jego bezkompromisowa prawdomówność, szacunek dla bogów i zawsze goszczące w jego sercu współczucie dla wszystkich żyjących istot spowodowały, że modlitwa bezpośrednio dotarła do Śakry, a to on miał czuwać nad ziemskim światem.

W ciągu kilkunastu minut ciemne chmury zastoniły słońce. Ustał lejący się z nieba żar, który potrafił topić nawet ołowiane dachy w pałacu. Formujące się przy szczytach gór deszczowe huragany zaczęły wiać w doliny. Przepełnione były oślepiającymi światłami błyskawic, a grzmoty sprawiały, że aż trzęsły się Himalaje. Deszcz strugami lał się z nieba. Wydawać by się mogło, że gdzieś tam na górze pękła tama wielkiego zbiornika i teraz masa wody spada na ziemię. Wszystkie ptaki przesia-

dujące wokół jeziora z krzykiem i lękiem uciekały do lasu. Ryby ożyły w świeżej wodzie lejącej się z nieba. Odzyskały też nadzieję, że niebezpieczeństwo ich zagłady zostało usunięte. Bodhisattwa pomodlił się:

— Dzięki ci, miłosierny Śakro, że zechciałeś pochylić się nad losem niemych ryb.

Nieopierzona przepiórka

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa narodził się w rodzinie przepiórek. Zaledwie przed kilkoma dniami wykuł się, mozolnie pracując, ze skorupki jajka. Mimo, że rósł dość szybko dzięki troskliwości rodziców, co raz to wkładających mu w dzióbek różne przyniesione przysmaki, to jednak nadal pozostawał nieopierzonym pisklęciem o zbyt małych i bez lotek skrzydłach. Nawet w tym wieku Bodhisattwa wiedział, co jest dobre, a co moralnie naganne. Miał duże wycucie sprawiedliwości i pałał miłością do rodziców, do innych przepiórek z okolicy, ale również do wszystkich żyjących istot wokół. Zdecydowany czynić w przyszłości tylko dobre i miłosierne uczynki pamiętał, co powiedziane jest w Dhammapadzie:

Osobnik bezwstydnym i zuchwałym jak kruk,
 żyjący podle z paskudnymi uczynkami,
 ma łatwe i przyjemne życie,
 choć jest ono pełne grzechów.



Ten, który stara się być umiarkowany,
skrupulatnie przestrzega prawa,
żyje w podziwianej czystości ducha,
lecz los jego jest ciężki.

Pewnego dnia, gdy rodzice młodego ptaka wyprawili się na poszukiwanie pożywienia, w lesie, niedaleko od drzewa z gniazdem przepiórki wybuchł pożar. Szybko ogarniał on coraz większe obszary. Większość zwierząt uciekała śpiesznie przed gorącymi podmuchami i duszącym dymem. Ptaki z sąsiednich drzew, wszystkie starsze od małej przepiórki, rozwinęły skrzydła i też, czym prędzej odfrunęły. Pękające w płomieniach drzewa zdawały się jęczeć w agonii. Po pewnym czasie języki ognia zbliżyły się do miejsca, na którym było gniazdo z małym ptakiem. Rodzice nie przyfrunęli, bo dym i ogień stanowiły śmiertelne niebezpieczeństwo. Bodhisattwa próbował rozpinać swe małe skrzydełka i machał nimi bezradnie. Brak piór i siły nie pozwoliły mu poderwać się z gniazda. Widząc bezowocność swych wysiłków, poskarżył się skromnie na los:

Na małych stópkach nie mogę uciec,
małe skrzydła jeszcze nie dorosły,
bym zdążył szybko uciec stąd,
tak jak moi rodzice.

Ogniu!, mimo że przybywasz tu w gościnę,
nie mam ci nic do zaoferowania.
Czyż w tej sytuacji nie powinieneś się cofnąć
i odstąpić od tego drzewa?

Ogień, biorąc do gorącego serca szczere słowa Bodhisattwy, znając jego charakter bez skazy, odstąpił od drzewa, cofnął się, na tyle by dym nie udusił ptaka. Jest to wyraźną wskazówką, że nawet ogień, nawet zły i okrutny los muszą niekiedy ustąpić przed czystą duszą.

Dzban

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa urodził się jako bóstwo, opiekun ziemi — Śakra. Był on zasadniczo bóstwem łagodnym, tolerancyjnym, gdyż patrząc z wysokości nieba na ziemię, widział już niejedną nieprawość ludzi, ich agresywne zachowania sprowadzające na maluczkie cierpienia, widział też pożądlivość i jej skutki, znał rozbite rodziny, porzucone żony z małymi dziećmi, świętokradztwa braminów, sprzeniewierzenie się zasadom sprawiedliwości królów. Wiedział, że to plemię, tam na dole, nie jest doskonałe i zawsze można się po ich przedstawicielach czegoś niecnego spodziewać. Wiedział jednak też, że od czasu do czasu zdarzają się tu ludzie o mocnych zasadach, skromni, mimo że zamożni, współczujący, mimo że nigdy naprawdę nie zaznali biedy. Jaśnieli oni jak gwiazdy na ciemnym firmamencie występów i niecnoty. Wiedział też, że w każdej ludzkiej duszy tkwi małe ziarenko dobra, które tylko nie zawsze jest chronione i zadbane, tak aby wydać w przyszłości kwiat dobra.

Od pewnego dnia Śakra, spoglądając na uwijające się w dole jak mrówki ludzkie istoty, spostrzegł swym przenikliwym wzro-



kiem dziwne zjawisko. A im dłużej je obserwował, tym oczy jego robiły się większe ze zdumienia. Oto pobożny dotąd król Sarwamitra popadł w złe towarzystwo, a później nieczne obyczaje rozszerzyły się na stolicę i cały jego kraj. Boski obserwator zorientował się, że powodem zapaści tak dobrze prosperującego dotąd kraju było upodobanie monarchy do alkoholu. Trucizna ta bowiem pod niewinnymi pozorami uspakajania, łagodzenia lęku i niepokoju, pokonywaniu rzekomego tchórzostwa, dawała poczucie złudnego szczęścia, bez troski, a często nieprawdopodobnej siły. Alkohol, pod pozorem zadowolenia, zawsze prowadził uzależnionych nieszczęśników do ruiny i zguby. Śakra powiedział do innych bogów:

— Król musi zdecydowanie przejść kurację odwykową. Ludzie zawsze potrzebowali przywódców, ale jeśli ów błądzi, to ku zatraceniu idą wszyscy mu podlegli.

Doszedłszy do takiej konkluzji, Śakra przybrał postać uczonego bramina i zstąpił, w czasie posiedzenia rady, na dwór króla Sarwamitry. Bramin był prawdopodobnie pustelnikiem, bo był niezmiernie wychudzony, a odzieniem jego była owcza skóra. W lewej ręce trzymał dzban z alkoholem. Król, siedząc na tronie z pucharem wina w ręce, prowadził lekkie i bez troskie rozmowy z dworzanami. A ci również trzymali kielichy w rękach i wszyscy byli bardzo rozbawieni.

Bramin uklonił się unieżenie przed tronem i zapytał:

— Kto z obecnych zechce odkupić ode mnie ten dzban, pełen napoju, przyozdobiony kwiatkami, które delikatnie poruszają się przy lada wietrzyku?

— Poznając, szanowny gościu — rzekł król — że musisz być jednym z tych znamienitych mężów, którzy w pustelni i ascezie

oczyszczają duszę. Powtórz, jakie masz życzenie, a spełnimy je z przyjemnością.

— Widzę, że mnie poznałeś, królu. Teraz jednak proponuję ci, byś kupił ten puchar napełniony płynem. On gwarantuje ci bezmiar cierpienia w przyszłym życiu, ale nieszczęście dotknie cię jeszcze w tym wcieleniu.

— Asceto! Twój rodzaj zachęty do kupowania oferowanego towaru jest doprawdy bezprecedensowy! Wszak ludzie chcący coś sprzedać zachwalają swoje towary i skrzętnie ukrywają wszelkie jego wady. A ty czynisz wszystko na odwrót! Powiedz mi, dlaczego?

— Panie, każdy, kto będzie pił z tego dzbana na pewno utraci kontrolę nad swym zachowaniem. Będzie się potykał i padał nawet na prostej drodze. Będzie tracił pamięć. Nie będzie rozróżniał dobra od zła, a czynić będzie to drugie z upodobaniem. To wszystko jest w tym złowrogim dzbanie. Kup go, jest teraz na sprzedaż!

— Opamiętaj się, starcze! Chcesz nam sprzedać truciznę, która może doprowadzić do utraty majątku, czci i hańby?

— Królu, panie nasz! W tym dzbanie jest tylko alkohol i on czyni właśnie z ludźmi to całe zło, o którym mówiłem wcześniej. On jest tą trucizną, która z ludzi czyni dzikie bestie, z cnotliwych niewiast ladacznice, z bohaterów miękkich tchórzki. On już kiedyś zmącił umysły Jadawów, którzy przystąpili do bratobójczej walki. On otwiera drogę demonom do naszych serc i umysłu. Pod jego wpływem człowiek przestaje rozumieć, co jest dobre, a co złe i podłe. On zapewnia nam trwałe miejsce w krainie potępienia, w najgorszym piekle — Awiczi. Weź, królu, ten dzban pełen wina, daję ci go w prezencie!

Zawstydzil się król, spuścił oczy, oparł głowę na drżących rękach, głęboko się zamyślił. Odezwał się po dłuższej chwili:

— Asceto, zawstydzasz mnie. Mówisz do mnie jak kochający ojciec, pouczasz jak troskliwy nauczyciel, jak guru pozwalasz, abym odróżniał dobro od zła. Troszczysz się o mnie, mój dwór i królestwo. Dzięki ci za to. Jeszcze alkohol nie wypalił we mnie resztek godności. Widzę ogrom mych zaniedbań i przepaść, w którą ciągnąłem mój lud. To się musi zmienić! Dobrze, że dzięki tobie przejrzałem na oczy. Przyrzekam solennie od tej chwili kierować się drogowskazami ku przyzwoitości, uczciwości i pobożności. Zaprzestanę pić alkohol — napój, który niszczy wolę, odwagę i moralność. Przyrzekam ja i tę przysięgę na pewno też podejmą moi dworzanie, a za nimi cały lud.

— Obyś, królu, wytrwał w tym postanowieniu! — powiedział asceta i zniknął jak duch.

Nowicjał księcia

Tak slyszalem od mego guru. On sam byl uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i swiecił przykladem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa urodził się w rodzinie króla i był wychowywany jak człowiek z tej najwyższej klasy społecznej. Jego rodzina zawsze wspierała zgłaszających się po pomoc mnichów i ascetów. Jej dobra były zawsze dostępne, by udzielać pomocy przyjacielom, o ile zaszła taka potrzeba. Ze względu na szlachetność postępowania jej członków cieszyła się w całym kraju wielkim uznaniem i autorytetem od wielu pokoleń. Młody Bodhisattwa zgodnie z rodzinną tradycją od dzieciństwa był wdrażany w obowiązki i sekrety rodzinne. Był młodzieńcem rozważnym i roztropnym. Uczył się pilnie nie tylko sztuki panowania, ale literatury i innych sztuk pięknych. Poznawał prawo i tradycje, a nawet skomplikowane sytuacje polityczne w najbliższych sąsiedzkich królestwach. W miarę dojrzewania interesowało go jednak życie ascety. Oferowało ono czas do głębokiej refleksji nad własną osobą i innymi ziemskimi sprawami. Odsuwało od łatwych i pustych przyjemności, które zostawiają jeno niedosyt i pustkę. Wiedział ponadto, że może owa zwyczajna egzystencja, z powodu nieostrożnych

działań, powodować ból lub ranić innych ludzi. Nie pociągało go ani życie rodzinne, ani zaszczyty władzy. Nienawidził konfliktów zbrojnych. Nie chciał też w przyszłości zawierać dwuznacznych kompromisów, jakie niezbędne są w polityce. Trwał uparcie w postanowieniu prowadzenia życia ascety. Ku wielkiemu zmartwieniu matki i ojca opuścił dwór i udając się w odludne miejsca, zaczął szukać odpowiedniej samotnej pustelni. Dotychczasowe skwapliwe praktykowanie medytacji uciszyło jego młode zmysły i uspokoiło roziskrzony myślami umysł. Jego mowa stała się stonowana, lecz zawsze wyrażała siłę przekonań. Zawsze potrafił odróżnić zło od dobra. Był:

Szlachetny, wzbogacony
przez urodę i dobre urodzenie.
Swymi zaletami promieniował,
jak księżyc w pełni.

Stary przyjaciel ojca, pełen podziwu dla niezłomnego charakteru młodego ascety, przybył pewnego razu do niego. Powiedział:

— Panie, zapewne poważne przemyślenia skłoniły cię do wyboru takiej drogi życiowej. Zapewne miałeś uzasadnione powody, aby zostawić rodzinę i obowiązki następcy tronu. Ale przecież cnotę i wszystkie inne rygory z nią związane można równie dobrze uprawiać w domu, jak i w pustelni. A czyż życie zamożnego człowieka nie nakłada na niego większego jeszcze obowiązku dzielenia się bogactwem, ile więcej dobrego może zrobić współczujący król bogatego kraju, niż asceta w lesie, który nic nie posiada. Szansa rozsądzania sporów, co jest obo



wiązkiem monarchy, czyż nie daje szansy szerzenia sprawiedliwości, bronięcia oszukiwanych, zatrzymywania chciwości nieuczciwych a bogatych? Żyjesz, panie, w poniewierce, w niedostatku, w ciągłym zagrożeniu życia. Nawet nasi odwieczni wrogowie użalają się nad twym nieszczęsnym losem.

— Dziękuję ci za troskę i dobre słowa. Zawsze byłeś przyjacielem naszej rodziny — mówił książę. — Wiem, że kierują tobą dobre i szlachetne intencje. Przyznać jednak musisz, że świeckie życie niesie ze sobą wiele ryzyka, a w efekcie zmarła i smutku. Czyż nie musimy się wtedy martwić i zaprzętać umysł powodzeniem całej rodziny, interesami brata, szwagra i innych krewnych? Czyż ich kłopoty lub nieszczęścia nie dotyczą nas? A odwieczne martwienie się o zaszczyty, ambicje, troski, o uszczuplający się majątek, pragnieniem, by dobrze wychować synów, odpowiednio wydać córki za mąż, potrafi być zgrzyotą życia rodzinnego. Czyż nie?

— Ja wybrałem drogę ascety — kontynuował zdeterminowany książę swoją wypowiedź. — Do tego czuję powołanie. Wszak nie wszyscy ludzie umieją się modlić, niektórzy nie chcą, a innym brak na to czasu, bo są bardzo obciążeni obowiązkami, zawodowymi lub rodzinnymi. Ja postanowiłem się za nich wszystkich modlić. Czyż jest w tym coś złego?

— Nie, książę, na pewno nie. Skoro trwasz w swym szlachetnym postanowieniu, to w nim wytrwaj. Modlitwy twoje na pewno trafiają do nieba i chyba tylko pomyślność mogą sprowadzać, na tych, za których się modlisz — powiedział przyjaciel królewskiej rodziny i wrócił opowiedzieć wszystko ojcu młodzieńca.

Korzonki lotosu

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa urodził się zamożnej rodzinie kupieckiej. Miał jeszcze sześciu młodszych braci, a najmłodsza była siostra. Bodhisattwa od dzieciństwa pod okiem znanego guru studiował wiele dawnych ksiąg a szczególnie rozmyślał w Wedach wraz z komentarzami do nich. Był młodzieńcem mądrym, cechowało go umiarkowanie i powściągliwość. Stał się też po pewnym czasie naturalnym przewodnikiem duchowym młodszego rodzeństwa. Gdy zmarli ich rodzice, na Bodhisattwę, jako na najstarszego syna przypadł obowiązek zajęcia się ceremoniami pogrzebowymi i zapalenia pogrzebowych stosów.

Po kilku dniach przepisanej żałoby zwrócił się do rodzeństwa:

— Smutkiem i głęboką refleksją napawa myśl o nieomalże beznadziejnej kondycji rodu ludzkiego. Okrutna śmierć rozdziela nawet najbliższych i nie wiadomo jak długo uda nam się jeszcze tak żyć w harmonii razem. Dlatego będąc świadomym niepewnego naszego losu w przyszłości, postanowiłem pójść ścieżką wiodącą do zbawienia, zanim śmierć uniemoż-

liwi zapobiec nieuchronności losu. Wiecie, jak bardzo kochałem dotychczasowe nasze spokojne życie rodzinne. Mam nadzieję, że dzięki staraniom naszych kochanych rodziców, zamożność naszego domu pozwoli wam, moi drodzy, wieść spokojne i godne życie, tu na miejscu. Uczcie się nadal pilnie, bierzcie zawsze za przykład mądrych i szlachetnych ludzi, miejcie respekt dla waszych przyszłych nauczycieli, unikajcie ludzi złych, ponurych i kłótliwych. Wspierajcie ubogich, a każdy wydany grosz biedakowi niechybnie wróci do was w przyszłości jako nagroda. Opiekujcie się siostrą!

Rodzeństwo było poruszone tą przemową brata i decyzją zostania pustelnikiem. Odezwał się jeden z nich, a przemówił w imieniu wszystkich:

— Drogi bracie, szanujemy twoją wolę zostania pustelnikiem i pozostawienia nam do dyspozycji całego domu i mienia po rodzicach. Dlaczego jednak myślisz, że wybrana droga ascetycznego życia jest odpowiednia tylko dla ciebie? Czy nasze dotychczasowe postępowanie czymkolwiek na to wskazywało? Wszak żyliśmy tak jak ty. Uznawaliśmy te same idee i autorytety, karmiliśmy się tą samą wiedzą.

— Moi drodzy — odparł starszy brat. — Od dawna noszę się z myślą udania się do pustelni, nawykłem już do niej. Stopniowo, bez rozgłosu, rezygnowałem ze zwyczajowych ziemskich przyjemności. Dla ludzi, którzy prowadzili jednak normalne i szczęśliwe życie rodzinne i otoczeni byli gronem serdecznych przyjaciół odsunięcie się od niego może przypominać spadnięcie z wysokiego klifu do morskiej otchłani.

— Drogi starszy bracie, nie doceniasz determinacji naszego postanowienia i faktu, jak silne są nasze braterskie więzy,



upodobania i jak dojrzałe przekonania. Pójdziemy z tobą albo za tobą!

— Cieszę się, jeśli jest taka wasza wola i silne przemyślane postanowienie.

I tak całe rodzeństwo, zostawiając dom i majątność pod opieką krewnych, wyruszyło do lasu w poszukiwaniu oddalonego miejsca, które nadawałoby się na założenie pustelni. Żegnali ich żalamujący ręce krewni i zrozpaczeni przyjaciele. Wreszcie dobrowolni wygnańcy znaleźli odpowiednie miejsce przy brzegu oddalonego od wszelkich ludzkich szlaków leśnego jeziora. Tu każde z nich wybudowało sobie z liści palmowych szałas, na tyle od siebie oddalone, by mogli spokojnie oddawać się pobożnej medytacji. Co kilka dni spotykali się na polance i prowadzili filozoficzne dysputy pod przewodnictwem Bodhisattwy. Siostra dbała o ich zmniejszone teraz do minimum potrzeby życiowe. Przyszli asceci postanowili dla umocnienia swego charakteru przejść na ścisłą dietę wegetariańską. Polecili, aby siostra codziennie przynosiła im korzonki lotosów i dzieliła na sześć porcji po dwie sztuki, nie więcej. W ten sposób żywili się czas jakiś aż nabrali wyglądu prawdziwych, szczupłych, młodych ascetów. Utał się taki zwyczaj, że Bodhisattwa zabierał swoją porcję jako ostatni. Podzieliwszy w ten sposób skąpe pożywienie każde z nich zabierało swoje jedzenie i w milczeniu spożywało w swym szałasie, nie tracąc czasu na bezowocne pogawarki z innymi.

Praktykom tym przyglądał się z nieba boski Śakra. Zaczął się zastanawiać, jak dalece silne są postanowienia braci i potrafią wytrwać w nich w przypadku jakichś nieprzewidzianych trudności. Trudności bowiem są prawdziwymi próbami wsze-

lakiej cnoty. Śakra zaczął codziennie przybywać niespostrzeżenie do leśnej pustelni i codziennie zabierał pozostawioną dla najstarszego brata porcję. Bodhisattwa zdziwił się, nie zastając z dnia na dzień lotosowych korzonków. Pomyślał: Pewno któreś z mego biednego rodzeństwa osłabło i dla podratowania zdrowia zjadło dodatkowo moją porcję. Nikomu o tym nie mówiąc, głodował dzień po dniu. Myślał później: Któreś z nich nie wytrzymało twardej dyscypliny odżywiania się tylko dwoma korzonkami lotosu dziennie. Nie będę o tym mówić, aby ich nie zawstydząć. Powtarzał tylko w duchu:

Dla dobrego człowieka moralna porażka
bardziej jest straszna niż sama śmierć.
Rozsądny nie będzie się zbyt emocjonował,
by kłaść swe życie na szali ryzyka.

Wreszcie, gdy oczy mu się zapadły z głodu, twarz poszarzała, włosy zaczęły wypadać i stracił siły w tak wielkim stopniu, że się przewracał w czasie próby chodzenia, Śakra przekonał się, że żadna próba nie jest w stanie odwieść Bodhisattwy od raz powziętego zobowiązania. Wolał umrzeć z głodu, niż oskarżać któreś z rodzeństwa o kradzież jedzenia. Objawił się rodzeństwu, gdy przebywali razem. Wyjaśnił, że on codziennie zabierał skrycie jedną porcję jedzenia najstarszemu ascecie, aby sprawdzić, czy sytuacja taka wywoła niesnaski w ich gronie. Nie widzi jednak sensu ciągnąć bezowocnej próby. Nic nie jest w stanie zakłócić ich determinacji w ascezie ani pobudzić do wzajemnych oskarżeń. Później zwrócił się do najstarszego z braci:

— Dzielna duszo, przepraszam, że próbując twą stałość

i hart ducha, choć przez chwilę w ciebie wątpiłem. Wybacz mi to i nie chowaj do mnie urazy.

— Oczywiście, wybaczam ci, panie — powiedział Bodhisattwa. — Niebiosa mają prawo poddawać próbie nas, ludzi.

Po tych słowach Śakra pozostawił rodzeństwo w pokoju i błogosławiąc ich zniknął.

Później, po wiekach wszyscy bracia odrodzili się jako uczniowie Buddy Siakjamuni, jako: Sutriputra, Maudgalajajana, Kasijapa, Purna i Ananda. Siostra odrodziła się jako Satagiri.

Nadzorca królewskiego skarbcza

Tak slyszalem od mego guru. On sam byl uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i swiecił przykladem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa byl nadzorcą królewskiego skarbcza. Wiadomo, że stanowiska takie przekazuje się zawsze ludziom bezwarunkowo uczciwym i o nieposzlakowanej opinii, niepodatnym na większość życiowych pokus i bez nałogów, i takim właśnie byl nowo mianowany bankier. Znany byl z umiarkowania, a uczciwa praca byla dla niego przyjemnością. Jego język cechowała elegancja i zwykle trafial w sedno analizowanego zagadnienia.

Pewnego dnia, gdy poszedł z wizytą do króla, teściowa odwiedzila jego dom, chcąc poplotkować z córką. Po ceremonialnym przywitaniu obie panie oddalily służbę i zostały tylko z dziećmi. W tym czasie pewien znamienity guru zbieral wśród znaczniejszych mieszkanców datki na wybudowanie sierocińca. Starsza dama rzekla do córki:

— Moja droga, wiesz zapewne, czym żyje teraz całe miasto. Wszyscy znaczniejsi ludzie wspomagają godną akcję świętego męża. Zapewne twój mąż poprze ją również i nie poskapi grosza. Wszak ma on poczucie sprawiedliwosci i współczucia dla

biednych, skrzywdzonych przez los i akcje charytatywne nie są mu obce.

— Oczywiście, matko — odpowiedziała gospodyni. — Jest on uczulony na takie problemy i jak każdy rozsądny człowiek pragnie wniknąć w życiowe potrzeby biedaków. Wszak i on chciałby również doznać oświecenia i odrodzenia się w lepszym świecie.

Starsza pani, zapewne z powodu wieku, nie zrozumiała istoty wypowiedzi córki. Zamyśliła się i wybuchła płaczem:

— Oświecenia, powiadasz, pragnie on oświecenia? Nie będzie więc dbał już o dom, o ciebie i dzieci. Zostanie ascetą i zamieszka w pustelni! Teraz, kiedy jest w pełni sił, zdrowy i taki przystojny, chce wybrać ścieżkę zarezerwowaną dla staruchów! Ma tak wysokie stanowisko i zapewniony dobrobyt. Król mu zaufał, a teraz on to wszystko zostawi. Biedny monarcha nawet nie wie, jakiego nieprzyjemnego figła los mu gotuje! Cóż za nieszczęście cię spotkało, moja biedna córko. Wiedz jednak, że na matkę możesz zawsze liczyć. Będę cię wspierać w tym opuszczeniu ze wszystkich sił.

Słowa i lament matki wstrząsnęły młodą mężatką. Czy aby matka się nie myliła, a może wyczuła coś, co uszło mojej uwadze — pomyślała? Może jej zdradził swój sekret, a mnie chciał to wyznać później. Doprawdy nie wiem już, co mam myśleć! Pewnie matka odwiedziła nas teraz, aby mnie pocieszyć?

Zaczęła też płakać i lamentować:

— Mąż ma mnie już dosyć. Ma dosyć rodziny. Chce się „oświecać”. Dlaczego ma to robić bez nas, najbliższych kochanych istot? Czy taka asceza, nie jest egoistyczna, samolubna? O, ja nieszczęśliwa!



Po chwili lamentowała już cała służba, bo gdzie znajdują drugiego, tak szlachetnego pana. Do tych płaczów dołączyli się sąsiedzi, wszak życzliwy sąsiad — bankier, nieczęsto się zdarza. Akurat wracał on z dworu. Widząc rozpaczających ludzi, dopytywał się sąsiadów o przyczynę tego zamieszania.

— Szlachetny panie — powiedział jeden z nich — doszły do nas bardzo niepokojące wieści. Podobno, panie, masz dosyć dworskiego życia i pragniesz zostać ascetą. To bardzo szlachetne, ale i zarazem smutne dla nas. Tak miłe było twoje sąsiedztwo!

Bankier, jak każdy człowiek szlachetny z natury, dobroduszny i współczujący bólowi innych pomyślał: Widać ludzie tutaj mają o mnie bardzo dobre mniemanie, do tego stopnia, iż uważają, że byłbym godny wejść na ścieżkę ascetów. Ceniąc tak wysoko moje zasługi i możliwości, czy nie zawiódłbym ich, wracając do normalnego mieszczańskiego życia? Czyż nie jest to podpowiedź losu? Może powinienem porzucić to, tak mało wazące życie doczesne i zająć się sprawami wieczności? To życie, w którym tylko trud nas spotyka i móżół, gdzie szczęście jest tylko iluzją? Może dojrzałem wreszcie do pustelniczego życia, czystości modlitw i umysłu, bez pożądań i tym podobnych życiowych świecidełek, które jak mgła poranna są ulotne i pozostawiają nagie kontury życiowych faktów. Powinienem o moich planach powiadomić monarchę, który był zawsze dla mnie jak dobry ojciec. Zgłoszę się do niego jeszcze dzisiaj!

Król bez żadnych trudności znalazł dla niego czas na audiencję i z troskliwością w głosie, wywołaną zapewne nieco zasmuconym wyglądem bankiera, zapytał:

— Cóż cię do mnie sprowadza, szanowny ministrze? Czybyś miał jakiś kłopot? Może potrzebujesz pieniędzy, na kupno

nowego domu? Jeśli tak, to chętnie ci pożyczę, wiesz, że dzięki tobie mój skarbiec jest teraz pełen złotych monet.

Bankier powiedział o swoich przemyśleniach, o sugestiach, jakie podsuwają mu wszyscy życzliwi bliscy, dworzanie i sąsiedzi. Przyznał, że w głębi serca podjął już decyzję udania się do pustelni. Teraz tylko prosi, aby jego łaskawy opiekun i monarcha wyraził zgodę.

— Panie, stokrotne dzięki, nie mam bynajmniej kłopotów finansowych. Jednak od pewnego czasu wszyscy z mojego otoczenia, zarówno moi przyjaciele, jak i ludzie nie zawsze mi chętni, uważają, że powinienem udać się do pustelni i zostać ascetą. Tak bardzo są o tym przekonani, że coś w tym musi chyba być! W efekcie postanowiłem porzucić świeckie życie i zaopatrzywszy rodzinę w niezbędny kapitał na przyszłość oraz po ustaleniu odpowiedniej umowy z przyszłymi teściami córki, nic poza posadą bankiera z tym życiem mnie nie trzyma. A ty, szlachetny panie, zapewne pozwolisz mi odejść, aby wypełniło się moje przeznaczenie, choć przyznam szczerze, że wcześniej o tym nie myślałem.

— Mój drogi — powiedział władca — ludzie o takiej pozycji jak twoja, po zebraniu tylu zasług, nie muszą we wszystkim kierować się opinią publiczną. Plotki nie powinny korygować naszych wcześniej podjętych zamysłów.

— Panie, jeśli jednak wszyscy wysoko cenią moją reputację i uważają, że sprostałbym trudnemu życiu ascety, to nie mogę ich zawieść.

Tak przebiegała dyskusja, w czasie, której król próbował odwieść bankiera od jego, zdaniem monarchy, pochopnego zamiaru. Bankier stale powtarzał jednak: „Nie mogę ich zawieść”.

Król, zmęczony bezowocną dyskusją, zaakceptował decyzję ministra. Ten zaś, po ostatecznym załatwieniu spraw rodzinnych, niewzruszony płaczem bliskich, odszedł do odległego lasu, by wieść życie pustelnika i pielęgnować swą wysoko ocenianą przez wszystkich cnotę.

Historia Kuddabodhi

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu, kiedy w Benares rządził mądry król Brahmadata, Bodhisattwa odrodził się w zamożnej rodzinie posiadaczy wielu nieruchomości w stolicy. Nosił imię Kuddabodhi. Wiódł życie dostatnie, co zapewniała mu doskonała edukacja i fortuna rodziny. W jednym z obszernych domów nieopodal królewskiego pałacu założył szkołę. Był jej właścicielem i głównym nauczycielem. Szedł prosto ścieżką dharmy dzięki zasługom w poprzednich wcieleniach. Umysł miał czysty dzięki wiedzy, którą posiadał, intencje zawsze szczerze, zasługi zdobywane bez oglądania się na korzyści. Jego szczęście dopełniała jeszcze mądra i kochająca żona, dzieląca z nim wszystkie udane chwile życia, jak i nieliczne troski. Żona, tak jak on, kroczyła cierpliwie i z zadowoleniem ścieżką swej dharmy, dzieląc z małżonkiem jego przekonania i wyznając te same zasady moralne. Bodhisattwa wiedział, że najcenniejsza i najszybciej prowadząca do pełnego oświecenia jest droga ascety. Jednak, ze względu na wrodzoną delikatność żony, która przypominała kruchość niektórych dzieł stworzonych rękoma

natchnionych artystów, życie w pustelni byłoby dla niej za trudne. W leśnych pustelniach wiodło się surowe życie, stale groziło zetknięcie z jakimś drapieżnikiem lub jadowitym wężem. Nawet z nią nie rozmawiał na ten temat, bojąc się, że ambitna kobieta uzna odsunięcie się od czynnego życia za właściwe. A przecież tak świetnie radziła sobie ze wszystkimi obowiązkowymi zajęciami wynikającymi z wysokiej pozycji społecznej jej i męża. Z radością i bez przymusu pomagała biednym i chorym. Brała zawsze czynny udział w akcjach mających na celu dobroczynność.

Kuddabodhi nie mógł jednak stłumić w sobie powołania do życia ascetycznego. Prosił swą piękną żonę o wybaczenie, gdy musi na czas jakiś, a może na zawsze, udać się do pustelni i wieść życie ascetyczne. Mówił:

— Droga żono, nie zostawiam cię tu bez opieki ani w niedostatku. Moi i twoi rodzice będą cię wspomagać w czasie mej nieobecności, a nasz dom i cały zgromadzony majątek jest do twojej wyłącznej dyspozycji. Wybacz mi odejście, ale muszę żyć zgodnie z moim przekonaniem. Los i przeznaczenie wybrało dla mnie ścieżkę ascezy. Kochając mnie, zrozumiesz to bez trudu.

— Tak, kochany mężu, rozumiem twój wybór, ale i ty powinieneś wiedzieć, że moim jedynym przeznaczeniem jest być z tobą i nie zostawić cię bez względu na okoliczności i sytuację, w jakich wypadnie ci żyć.

Przyszły asceta był zaszokowany bezkompromisowością i postanowieniami żony. Postanowił wyjść z domu bez pożegnania, aby oszczędzić im łez i aby żona nie mogła iść za nim. Ta, znając intencje męża i przeczuwając jego decyzję, bez-

zwłocznie podążyła za nim, gdy tylko opuścił wczesnym rankiem dom. Kuddabodhi szybkim krokiem przemierzał podmiejskie lasy, nie zatrzymując się, podążał przez okoliczne wsie i nie zdawał sobie sprawy, że ona, jak żona dzikiej gęsi, wiernie idzie za nim. Po kilku dniach nasz bohater znalazł ciche, spokojne i piękne miejsce na leśnej polanie, na obrzeżach, której było sporo drzew owocowych. Usiadł i zaczął nucić dziękczynną ragę. Jego żona również podeszła do polany i bez zwracania na siebie uwagi usiadła pod drzewem. Kuddabodhi od razu ją spostrzegł, ale nie odezwał się ani słowem.

Akurat w tym czasie król przejeżdżający przez tutejszą okolicę niespodziewanie trafił również na ową polanę. Był to czas pełnego kwitnienia okolicznych drzew i krzewów. Polana i okolice przypominały rajski ogród. Król zdziwił się, widząc w tym uroczym miejscu jednego ze znamienitych mieszkańców stolicy. Po stroju i medytacji zorientował się, że mężczyzna ów wstąpił na ścieżkę życia pustelnika. Mając wielki szacunek do uczonych i świętych mężów, pozdrowił go grzecznie i usiadł koło niego. Jeszcze bardziej zdziwił się, gdy opodal zobaczył medytującą piękną niewiastę, również w stroju ascetki. Pomyślał: Pewnie ta kobieta również wyrzekła się świata i jest towarzyszką tego ascety. W czasie, gdy na nią spoglądał, poczuł, że jest oczarowany jej urodą, skromnością i szlachetnością zachowania. Złapany w sieć przez boga miłości zachował jednak spokój i nie dał po sobie poznać, jak głęboko ugodziła go strzała Kamy. Od razu przyszła mu do głowy myśl, aby uwolnić tę unikalną istotę od szorstkiego życia w lesie. Jej miejsce jest na dworze przy moim boku — pomyślał. Jednak asceci potrafią, przez swoją siłę duchową, być niebezpieczni. Muszę

się najpierw przekonać, jaką siłą dysponuje ten asceta. Odezwiał się przeto do medytującego w miłych słowach:

— Wasza wysokość, w świecie pełnym gwałtów, upadku moralnego i zgnilizny nie jest bezpiecznie mieszkać na takim odludziu z piękną kobietą. Jeśli zostaniecie napadnięci, cóż możecie zrobić? Wszak wasz gniew nasiliłby tylko złość agresora. A poza tym, na cóż kobieta ascecie! A gdyby ktoś zechciał ci ja uprowadzić?

— Panie, nie zachęcałem jej, aby mieszkała w tak prymitywnych warunkach, ona, która nawykła do najdelikatniejszych jedwabi i najbardziej wykwintnych potraw. To jest jej swobodny wybór i muszę uszanować jej wolę. Jednak, panie, musisz wiedzieć, że nie pozwoliłbym ujść karze agresorowi!

Król pomyślał: Jednak chyba ten święty mąż jest przywiązany do swojej kobiety. A nie odrzuciwszy wszystkich więzów ze światem doczesnym, nie może on mieć niebezpiecznej duchowej mocy. Z takim przekonaniem, opanowany przez dziką żądzę, nakazał sługom uprowadzić kobietę do swego harem. Sam został na polanie i czekał na reakcję ascety.

Porwana wylewała potoki łez, czując się jak łania w pazu-
rach tygrysa. Krzyczała:

— O, czemu mój mąż stał jak słup i pozwolił na taką niegodziwość! Przecież gdyby zechciał, mógłby swą duchową siłą piorunem razić niegodziwców. Spotyka mnie taka niesprawiedliwość ze strony monarchy, który powinien być dla nas wszystkich jak ojciec. Kto teraz będzie strzegł cnoty w tym kraju? Odwróć się od niego nawet bogowie!

W tym czasie mąż biednej kobiety siedział nadal, nieporuszony. Nie dał się opanować przez złość i gniew. Ich pierwsze

oznaki strząsnął z siebie i kontynuował śpiew zaczętej ragi. Król ponownie zwrócił się do niego, przerywając świętą pieśń. Krzyknął:

— Człowieku, masz chyba lód w sercu. Jesteś potworem, a nie żywą istotą. Nie widać po tobie ani żalu, ani gniewu. Nie ma w tobie serca, ni sumienia, ni czci!

— Królu, nie lękam się o moją żonę, bo nic złego jej się stać nie może. Wszak chronię ja swoją mocą i niebawem ona do mnie wróci. Moim prawdziwym wrogiem jest złość, jaka mogłaby mnie opanować, gdybym jej pofolgował, ta zła emocja potrafi splątać umysł i popchnąć do nierozważnych czynów. Nad nią musiałem zapanować. To był i jest mój największy wróg, któremu muszę się przeciwstawiać, aby go pokonać. Gniew jest ognistym i podstępny demonem. Ów ogień potrafi zniszczyć każdą cnotę i doprowadzić ludzi do szaleństwa. Z drogi cnoty może sprowadzić na najbardziej plugawą drogę występku.

Król pojął wielkość ducha ascety i drzemiące w nim siły. Zrozumiał, że nie może być mowy, by nie posiadał dostatecznej siły duchowej, aby przeciwstawić się ziemskiej sile monarchy. Czym prędzej wysłał umyślnego z nakazem sprowadzenia żony ascety na powrót do pustelni. Powrót ten powinien odbyć się z zachowaniem etykiety, jaka przysługuje księżniczkom z obcych krajów. Potem uklonił się przed świętym mężem, w którego siłę już nie wątpił, i przeprosił za swoją gwałtowną i nieokrzesaną reakcją. Powiedział:

— Wiedz, wielki guru, że pożądanie jest też wielkim i groźnym demonem, który potrafi popchnąć nawet rozsądnych do niecnym czynów. Zechciej wybaczyć swemu królowi chwilę słabości.

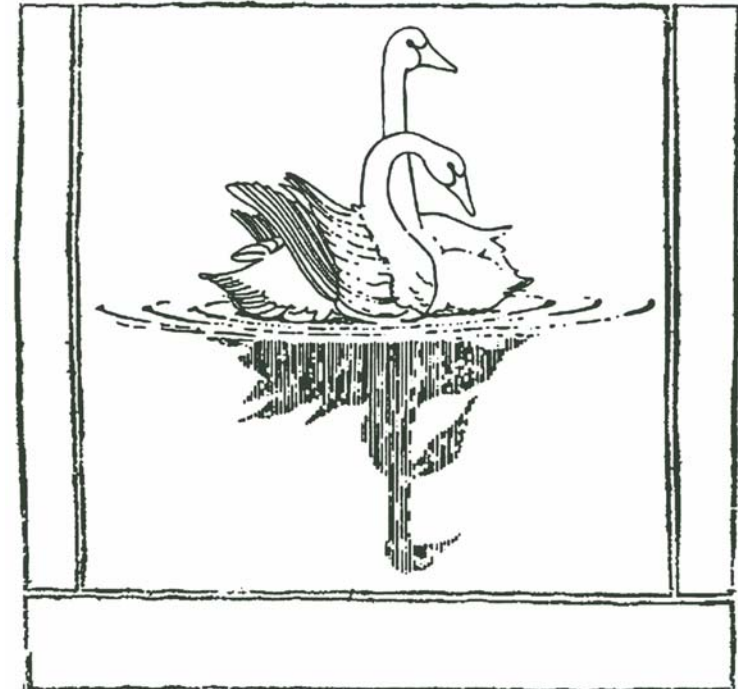
Dwa łabędzie

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu, kiedy w Benares rządził mądry król Brahadatta, Bodhisattwa był królem gęsiego stada i nosił imię Dhritarachtra, a jego pierwszym ministrem był wierny przyjaciel z lat, kiedy obaj byli dziećmi. Miał on na imię Saamukha. Stado żyło zgodnie, pilnie przestrzegając zarządzeń ich władcy i obrońcy. Nigdy nie wybuchały w nim żadne spory czy niesnaski. Mądry przywódca stada znalazł pod Himalajami piękne, spokojne jezioro, ukryte wśród lasów, gdzie łabędzie miały pod dostatkiem jedzenia i tylko nieliczni wieśniacy wiedzieli o istnieniu tego rezerwatu ciszy i spokoju. Miejsce wydawało się rajem na ziemi.

Jednak sława mądrych rządów łabędziego króla stopniowo przedostawała się w głąb kraju i stała się nawet przysłowiowa. Mówiono, że „jak rządzi mądry monarcha, to nawet w gęsim królestwie panuje spokój i dobrobyt”.

Parze królewskiej z Benares przytrafiła się dziwna i pouczająca historia. Pewnej nocy królowej Khemie przyśnił się złoty gąsior. Po obudzeniu poprosiła męża:



— Mój drogi mężu, na pewno nie bez powodu przyśnił mi się gęsi król, o którym ostatnio tak wiele się mówi. Zapewne zna on tajemnicę, jak zapewnić swemu ludowi dobrobyt. Nam się ostatnio jakoś gorzej wiedzie. Namów go, aby nas odwiedził i podzielił się swym sekretem. Jeśli nie będzie chciał przyjść, to niech go złapią i przyprowadzą. Trzeba abyśmy i my mieli czas prosperity!

— Spełniać życzenia kochającej żony, jest obowiązkiem męża — odparł monarcha i uśmiechnął się.

Król był znanym i sprytnym myśliwym. Razem ze swoim ptasznikiem zastawili sidła i złapali pięknego ptaka. W czasie polowania uciekły wszystkie inne gęsi z wyjątkiem gęsiego ministra, który postanowił podzielić los ptasiego króla. Kiedy doprowadzono oba ptaki przed oblicze królewskie, okazało się, że złoty gąsior mówi ludzkim głosem. Król cierpliwie wysłuchał wszystkich rad i opowieści mądrego ptaka, a było ich wiele: o dawaniu posłuchu należnego starszym i nauczycielom, o porządku społecznym i o obowiązkach każdego człowieka, niezależnie od kasty, w jakiej się narodził, i wreszcie, że nie powinno się krzywdzić żadnego żywego stworzenia. Król wypuścił oba uczone ptaki, które uleciały na zbocza świętej góry Czitrakuty. Dopiero później król dowiedział się, że gościł u siebie pod postacią gęsi Anandę — najwierniejszego ucznia Mędrca z rodu Siakjów oraz samego Gautamę Buddę.

Asceta Mahabodhi

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Mistrz narodził się i żył jako asceta o imieniu Mahabodhi. Zanim jednak zdecydował się zostać ascetą prowadził spokojny żywot człowieka ceniącego nauki, studiującego wiedzę i zaspakajającego w ten sposób wrodzoną ciekawość świata. Gdy zdecydował się wyrzec doczesnych przyjemności, jakie oferuje otaczający świat i zostać ascetą, poświęcił się swym studiom filozoficznym jeszcze gorliwiej, aż został uznany za uczonego guru i profesora. Dzięki olbrzymiej wiedzy, skromności i życzliwości wobec każdego napotkanego człowieka stał się znanym doradcą, zarówno ludzi zamożnych, jak i ubogich. Zdarzało się nawet, że i monarcha zasięgał jego rad. Mówiono o nim:

Jaśniej cnotą i licznymi zasługami,
za łagodność postępowania jest kochany,
nawet wrogowie czują przed nim respekt
i starają się przy nim dbać o reputację.

Chcąc by z rad jego mogło korzystać wiele osób Mahabodhi stale wędrował przez rozliczne wsie i miasta. Często bywał na targach, gdzie pomagał rozstrzygać bieżące spory i różne konflikty. Tak wędrując przez Indie trafił pewnego razu do sąsiedniego królestwa, a sława ascety wyprzedzała go. Król już na niego czekał i był bardzo rad z wizyty, tak czcigodnego mędrca. Rozstawiono dla niego piękny namiot w pałacowych ogrodach, przed którym czekało grono przyszłych studentów — potencjalnych uczniów. Mahabodhi uhonorował króla i jego dworzan ciekawym dyskursem dotyczącym moralnych obowiązków każdego człowieka. W miarę jednak upływu czasu, im bardziej król przejęty był naukami ascety, tym on sam budził większą nienawiść w sercach ministrów i reszty dworzan. Zżerała ich zazdrość do tego „przybłądy” i „uzurpatora łask królewskich”. Jednak w żadnej publicznej debacie nikt z dworzan ani tutejszych uczonych nie był w stanie wykazać jakkolwiek nieprawidłowość w rozumowaniu lub wnioskach przybyłego mędrca. Był on niepokonany w dysputach, potrafił w kozi róg zapędzić każdego uczonego z królestwa. Nie byli oni również w stanie osłabić coraz silniejszego przywiązania monarchy do uczonego. Dlatego postanowili uknuć niecną intrygę. Pewnego dnia jeden z ministrów tak odezwał się do króla:

— Panie, nie możesz wszystkich informacji od uczonego przybysza brać poważnie i samemu obdarzać go tak wielkim zaufaniem. Być może, któryś z naszych sąsiednich monarchów, znając, twoje, panie, umiłowanie do nauk i dysput wysłał tego bystrego i elokwentnego uczonego jako szpiega, abyś uwierzył w jego słowa i czyste intencje, a później we właściwej dla nich



chwili wykorzystają twoją ufność i wszystkie tajemnice wojskowe i państwowe.

Drugi z ministrów kontynuował zaczęty przez poprzednika wątek:

— Panie, ten podejrzany człowiek uczy cię współczucia do wszystkich ludzi, dobrych i złych, do przyjaciół i wrogów. Czy starczy ci, panie, siły by podjąć walkę, zabijać wrogów i grabieżców, gdy będzie taka potrzeba? Czy kraj nasz będzie bezbronny, gdy nasz władca okaże miękkie serce i niechęć do zabijania najeźdźców? Wszak zauważyłeś, panie, jak zgrabnie się on porusza wśród dyplomatów i ambasadorów innych dworów. Widać, że nie są mu obce sprawy związane z polityką i nie jest chyba tylko pokornym i wyalienowanym uczonym, na co wyraźnie pozuje.

Po wielu takich opiniach i sugestiach, ze strony bliskich mu dworzan, króla zaczęły trapić wątpliwości, co do czystości intencji goszczącego u niego uczonego. Insynuacje, powoli jak jad sączone do jego uszu, zaczęły oplatać umysł monarchy i coraz częściej, natrętnie były tematem jego rozmyślań. Dworzanie, widząc wahania władcy, nasilili jeszcze swoją akcję. Po kilku dniach Mahabhodi zgłosił się do króla i powiedział, że niebawem uda się w dalszą drogę. Kiedy wchodził do sali, w której monarcha przyjmował gości, spokojny dotąd ale groźnie wyglądający pupil królewski — pies, służący zazwyczaj do tropienia wilków, tego dnia powitał wchodzącego ascetę z groźnym warczeniem. Nigdy dotąd nic podobnego się nie zdarzyło. Król zaniepokoił się decyzją mędrca, którego dotąd szanował, a cień wątpliwości pojawił się w jego intoksykowanym umyśle dopiero od niedawna:

— Czemu, mój guru, chcesz mnie opuścić? Wszak jeszcze wiele mądrości miałbyś zapewne nam do przekazania.

— Panie, wyczuwam ziarna wątpliwości do mej skromnej osoby w twym umyśle. Nawet twój wierny pies, który był dotąd przyjazny, teraz zachowuje się wobec mnie wrogo. Znam ludzi, wiem, że sączą do twych uszu jad, panie. Zatrzymałem się na twym dworze i tak dłużej, niż początkowo zamierzałem. Tyłu jeszcze biednych ludzi oczekuje mojej rady i wsparcia. Muszę ruszyć dalej, aby tu atmosfera się oczyściła. Nie chcę być powodem intryg i niesnasek.

— Masz rację, mój nauczycielu. Prawdą jest, że nienawistni ludzie potrafią zepsuć każdą życzliwą ludzką relację. Ale widząc jedno niedopatrzenie, w tym wypadku moje, nie należy zapominać o całej długotrwałej przyjaźni, która niestety jest niekiedy poddawana próbie.

— Masz rację, panie. Zawsze będę pamiętał twą życzliwość, umiłowanie wiedzy i szczodrość. Mój pobyt tu, chociażby ze względów politycznych jest już niewskazany. Ty, panie, musisz jednak zważać na nastawienie twoich ludzi, twego dworu i tych uczonych, którzy pochodzą z twego ludu. Ja i tak miałem zamiar udać się w drogę, i tak długo zabawiłem w jednym miejscu, miejscu, które na zawsze zostanie w moim sercu, ze względu na twoją osobę, panie, twoją szlachetność i życzliwość.

— Obiecuj mi, że nas jeszcze odwiedzisz — rzekł monarcha.

— Panie, wiesz, jak często obiektywne przeszkody uniemożliwiają nam realizowanie powziętych uprzednio planów, lecz jeśli będę mógł odwiedzić cię chętnie, szlachetny panie.

Jak można było się spodziewać zaraz po odejściu ascety z królestwa, tutejsi uczeni, uprzednio już aktywni w mąceniu

jasności widzenia monarchy, nasilili swe fałszywe teorie i przekonywali do nich władcę. Jeden mówił, że po to natura wyposażała zwierzęta w pazury i kły a człowieka w inteligencję, aby walczyć i zdobywać, a nie poświęcać czas i życie bezsensownemu współczuciu. Inny minister przekonywał króla, że w życiu liczy się tylko przyjemność cielesna, której seks jest najważniejszym elementem. Władca mogący spełniać swe najbardziej wyszukane fantazje w tej materii powinien życie poświęcać na doznawaniu rozkoszy, a wtedy kraj cały biorąc przykład z monarchy też będzie szczęśliwy, lub dążący do tego stanu ducha. Jeszcze inni doradcy przedstawiali inne cele, do których powinien dążyć człowiek rozumny, ale żaden z nich nie wiązał się ze współczuciem, miłością do wszystkich stworzeń czy doskonaleniem duchowym. Kompas królewskiego serca oddalał się coraz bardziej od rad mistrza, który opuścił kraj.

Mahabhodi, dzięki swej nadnaturalnej mocy, widział co się dzieje na dworze i jakie wątpliwości targają monarchą, którego tak bardzo kiedyś cenił. Zdecydował się wrócić raz jeszcze do tego kraju, który niechybnie pogrążyłby się w chaosie. Nie chciał jednak reagować wprost, potrzebował czasu na właściwą decyzję. Przywdział w tym celu postać dużej małpy i skierował się do pałacu. Strażom oznajmił, że przybył odwiedzić króla i ten go natychmiast przyjął na audyencji ogólnej, w obecności całego dworu i wszystkich ministrów, którzy ascecie byli niechętni.

— Witaj, mój guru, dawno cię u nas nie było. Wielu z nas tęskniło za twymi naukami — powiedział monarcha, ale dlaczego masz na sobie taką dziwną, małpią skórę? Czy to coś znaczy?

— Panie, asceta mieszka w lesie. Śpi na posłaniu z trawy

i mchu. Ostatnio noce były bardzo chłodne. Musiałem więc zabić wielką małpę, aby przyodziać się w jej skórę.

— Dziwne, dziwne — szepnął król.

Natychmiast kilku ministrów zaczęło mówić, jeden przez drugiego.

— To oszust, panie. Cały czas mówił, że nie należy zabijać żadnej istoty, a teraz chwali się tym. Widzisz, panie, że to kłamca i krętacz! Zostanie potępiony i w przyszłych życiach będzie na wieczność tkwił w ciele szakali na samym dnie piekielnej czeluści!

— Jak wytłumaczysz taki rozdźwięk między twymi naukami a czynami, mój asceto — zapytał władca.

— Panie — odparł przybyły — czyż nie mówiono ci, że należy dbać tylko o własne dobro, nie licząc się z niczym i nikim, Ministrowie twoi przekonywali cię, panie, abys najechał sąsiednie królestwo, wytracił mężczyzn, a kobiety i inne dobra zagarnął dla siebie. Jeśli ja mówię, że zabiłem małpę, aby ogrzać się jej skórą to mnie potępiają. Dlaczego są tak niekonsekwentni? Czy tylko mnie obowiązują surowe reguły nie czynienia nikomu krzywdy?

— Prawda, prawda — powiedział król. — Raz twierdzicie tak, a innym razem odwrotnie. Nie ma sensu wasza argumentacja. Dlaczego zarzucacie, przybywającemu do nas uczonemu, niekonsekwencję, skoro sami nie jesteście konsekwentni? Ale z drugiej strony, ty szlachetny nauczycielu, chyba też nie jesteś konsekwentny? Dlaczego zabiłeś małpę?

— Panie, nie zabiłem żadnego zwierzęcia. Ta skóra jest tylko złudzeniem, wynikiem siły mojej sugestii. Spójrz, jak znika ona bez śladu!

W tym czasie zrzucił z siebie małpie okrycie, które zamieniło się w pył i po chwili znikło całkowicie.

— Potrzebowałem w tym momencie magii, aby przekonać cię, panie, jakimi krętaczami są niektórzy twoi doradcy, a mówiąc o swobodzie w korzystaniu z przemocy, zbrodni i gwałtu, narażają tylko cię, panie, na wieczne potępienie, a kraj na zatracenie. Świat jest bowiem tak stworzony, że każda niegodziwość jest wcześniej, czy później ukarana.

Bolesna lekcja, jakiej udzielił asceta monarsze i całemu dworowi przekonała wszystkich, że jedyną bezpieczną drogą, jaką powinien kroczyć władca ze swym ludem, to sprawiedliwość, dobroć i współczucie dla wszystkich żyjących istot.

Wielka małpa

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Mistrz narodził się i żył jako Wielka Małpa w słonecznej i zalesionej dolinie u stóp Himalajów. Ukwiecone trawy pokrywały jej łąki i dlatego przez z rzadka odwiedzanych wędrowców nazywana była Doliną Kwiatów. Liściaste krzewy i drzewa okrywały ją jedwabiącą szatą. Na unoszących się od niej zboczach zobaczyć można było wiele srebrzystych wodospadów i wodnych kaskad. Drzewa przesycały ją odurzającym zapachem kwiatów i dojrzewających owoców. Wielka Małpa żyła tu w spokoju i dostatku, mając zapewnione przez większość roku świeże pożywienie i dostatek wody. Żyjąc samotnie w tej głuszy bardziej przypominała, tkwiącego w oddaleniu od spraw świata ascetę, niż swoich małpich pobratymców. Wszystkim istotom, dużym, i małym, spotkanym na swej drodze wykazywała serdeczną pomoc i współczucie, kiedy tylko zaistniała taka potrzeba.

Pewnego dnia wieśniak z oddalonej wsi zabłąkał się tu w poszukiwaniu krowy, która mu uciekła. Poszukiwał jej wciąż nawołując ją po imieniu aż nieopatrznie ześlizgnął się na

gliniastym zboczcu i dalej zsuwając się coraz szybciej wpadł do głębokiej jamy, do której spływał strumyk. Tam padając na grząską ziemię nie doznał żadnych obrażeń, ale nie był w stanie wspiąć się po ścianach jamy. Zawodził więc głośno:

— O, bogowie! Zginę w tej czeluści, gdyż nikt mnie tu nie będzie szukał, bo nie wiedzą, dokąd i po co się udałem.

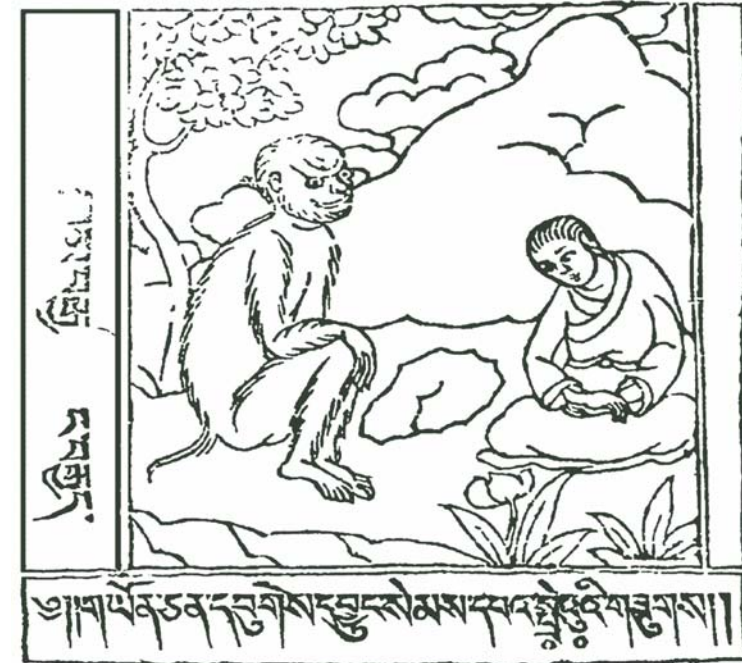
Przesiedział tak w jamie ze dwa dni i dwie noce, ale nie było obawy, że zginie z głodu czy pragnienia, bo wody miał pod dostatkiem, a co raz to do jamy spadały dojrzałe owoce z pobliskich drzew. Tak się złożyło, że Wielka Małpa, w poszukiwaniu smacznych owoców mango, znalazła się w pobliżu owej jamy. Usłyszała bładania wieśniaka, które po kilku dniach były już coraz słabsze, jako że nadzieja na uratowanie powoli opuszczała nieszczęśnika. Jak zwykle czuła na niedolę drugiej istoty, pochyliła się nad krawędzią zapadliny i zawołała:

— Hej, człowieku, co ci się stało?

— Wpadłem przez nieuwagę do jej czeluści i zginę tu niechybnie, jeśli mi nie pomożesz! Błagam, ratuj mnie i mą rodzinę. Beze mnie oni nie pożyją długo, bo i krowa nam gdzieś zginęła. Ratuj mnie, bracie!

— Pomogę ci, jeśli tylko dam radę. Wiedz jednak, że jestem małpą, mówiącą ludzkim głosem, a nie człowiekiem. Poczekaj jeszcze chwilę, niech się rozejrzę jak tam wejść, a teraz masz kilka dojrzałych mango abyś się wzmocnił.

Wielka Małpa obejrzała dokładnie krawędzie i ściany jamy, miejsca gdzie można było się chwycić przy schodzeniu i wdrapywaniu się do góry. Później powoli, z powodu braku dostatecznego oświetlenia, opuszczała się w głąb rozpadliny. Gdy dotarła na dół, biedny wieśniak rzucił się jej do stóp.



— Wybawco! Do końca życia ja i moje dzieci będziemy się za ciebie modlić. Oby Wisznu i inni bogowie byli dla ciebie łaskawi!

Uwięziony mężczyzna był drobnej postury, a na dodatek przymusowy kilka dni trwający, post spowodował, że był wręcz wychudzony. Bodhisattwa widząc to, doszedł do wniosku, że chyba da radę o własnych siłach uratować biedaka.

— Siadaj mi na plecy i trzymaj się mocno. Nie kręć się tylko, bo razem odpadniemy od ściany. Tu tylko te kilka wystających korzeni pozwala mieć nadzieję, że się wygramolimy jakoś na powierzchnię.

Gdy mężczyzna usadowił mu się na grzbiecie i mocno chwycił go oburącz, powoli czepiając się korzeni i wystających lian, ciężko dysząc ze zmęczenia, Wielka Małpa pięła się ku górze. Gdy wreszcie wydostali się na powierzchnię oboje wyczerpani legli na murawie. Zwierzę było wyczerpane pracą ponad siły. Nawet dla bardzo dużej małpy żyjącej w Indiach był to wysiłek morderczy. Ostatkiem sił osiągnęła krawędź i teraz prawie zemdlona leżała obok wieśniaka, z zamkniętymi oczami, ciężko oddychając. Mężczyzna był w lepszej sytuacji. Szybko usiadł na trawie i zaczął rozmyślać: Jestem bardzo osłabiony głodówką. Pewnie nie dam rady dojść do domu, jeśli nie zdobędę trochę pożywienia. W tej głuszy są tylko owoce i to wysoko na drzewach. Czym się posilę? Jeśli zabiję małpę, która i tak ledwo dyszy, i zjem jej mięso, to dam radę wrócić do domu o własnych siłach. Wiedziony tym impulsem wstał na nogi, rozejrzał się wokół, i widząc spory kamień chwycił go oburącz i wycelował w głowę małpy. Przecenił jednak swoje siły. Kamień był dość ciężki i cios był niecelny. Wielka Małpa zraniona została tylko dość mocno w skroń. Krzyknęła:

— Co robisz, nieszczęśniku? Dlaczego chcesz mnie zabić? Przecież dopiero co uratowałem ci życie, a tak mi odpłacasz?

— Panie, wybacz! Pewnie głód pomieszał mi rozum, bo chciałem zjeść mego wybawiciela! Nie wrzucaj mnie tylko na powrót do jamy. O, moje biedne dzieci, co zrobicie bez ojca!

Tak zawodząc i wijąc się u stóp małpy wieśniak sprawiał wrażenie skręcającego się po ziemi robaka, którego za chwilę ma rozdeptać czyjaś silna stopa.

— Przestań, już przestań, człowieku — powiedziała Boska Istota. — Nic ci nie zrobię. Masz tu jeszcze kilka owoców mango, posil się i ruszmy w drogę do twojej wsi.

Ludzie potrafią nawet bezinteresownie pomagać innym, potrafią też zapominać, choć z pewnym trudem, urazy i niegodziwość innych. Ale trzeba wielkiej siły współczucia i wyrozumiałości, aby wybaczać od razu i być gotowym pomagać niewdzięcznikowi. Tak potrafią czynić istoty niebiańskie lub ci, do których dotarło światło nauk Mistrza.

Antylopa Szarabha

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Mistrz narodził się i żył jako antylopa Szarabha. Pasł się swobodnie na słonecznej polanie, która granicząc z niezbyt gęstym lasem, dawał cień i schronienie w razie potrzeby. Była z niego dorodna, skoczna, pełna energii antylopa i widać było, że cieszy się życiem. Mimo, że w okolicy było sporo zwierzyny Szarabha lubił samotność, tak jakby praktykował jogę i ascezę. Mimo tych przyzwyczajień był pełen wrażliwości dla innych żyjących stworzeń i w miarę możliwości zawsze starał się im pomagać, służąc dobrą radą lub przykładem.

Pewnego dnia król, do którego należał ten rozkoszny kawałek włości, wybrał się do pobliskiego lasu na polowanie. Dosiadał pięknego, młodego ogiera, a z olbrzymim łukiem, kołczanem strzał i stosownym bogatym strojem, król przypominał boga Sziwę, który wyruszył na polowanie. Ambitny rumak rwał do przodu i wkrótce monarcha wyprzedził całą świtę i samotnie pędził przez nieznanne bezdroża. Dziarski monarcha zobaczył w oddali antylopę Szarabha i przyśpieszywszy jeszcze konia,



wyciągnął strzałę z kołczana i napiął łuk. Już miał razić zwierzę śmiertelnym grotem, gdy nagle koń się potknął o wystającą z ziemi kłodę zwalonego drzewa i... Jeździec sam, jak strzała wyleciał z siodła i zwałił się w poszycie leśne jak leśny demon w przepaść.

Szarabha w momencie, gdy spostrzegł nadjeżdżającego i mierzącego do niego z łuku księcia, w pośpiesznym zrywem uskokczył w bok. Po chwili jednak, nie słysząc hałasu konia, zwolnił, stanął i nasłuchiwał. Na koniec powoli zbliżał się do stojącego samotnie konia. Zorientował się w mig, co się stało. Poszedł dalej w poszukiwaniu króla. Pomyślał: Ten człowiek zapewne teraz cierpi, a przecież królowie nie są nawykli do cierpienia, tak jak zwyczajni ludzie. Trzeba mu, czym prędzej pomóc.

Szarabha pełen współczucia zapomniał wnet, że sam mógł paść ofiarą królewskiego polowania i że w jego serce była wymierzona śmiertelna strzała. Teraz, ta biedna ludzka istota wymaga pomocy! Znalazł, na koniec miejsce, gdzie spoczywał monarcha. Był to niewielki dołek w leśnym poszyciu. Młody człowiek leżał nieprzytomny, ze złamanym kołczanem, z pogiętym diademem i porwaną odzieżą. Spokojnymi słowami odezwał się do króla, który akurat zaczął odzyskiwać świadomość.

— Królu, jestem tylko antylopą, ale mówię ludzkim językiem. Mam na imię Szarabha. Leż spokojnie, panie, a ja postaram ci się pomóc.

Młody władca zastanawiał się: To dziwne stworzenie, mówiące do mnie ludzkim głosem, nie żywi do mnie urazy. Przecież chciałem je przed paroma minutami zabić i pewnie tak by się stało, gdyby nie potknięcie konia. Odezwał się, przeto do antylopy:

— Dziękuję ci, za chęć pomocy i to, że nie masz do mnie urazy. Na szczęście nie połamałem członków a ból po upadku da się wytrzymać. Jestem zadziwiony twoją wspaniałomyślnością.

Po tej kurtuazyjnej konwersacji antylopa weszła do dołu, król wspiął się na jej grzbiet i zwierzę powoli wyszło na murawę. Tu król uradowany, że jest już na powierzchni zrobił głęboki ukłon przed zwierzęciem i powiedział:

— Szarabho, jestem twoim dłużnikiem i będę nim do końca życia.

Widząc konia, który zbliżył się lekliwie, monarcha poklepał go po pysku i powiedział:

— To nie twoja wina, mój wierny towarzyszu, nie masz się, o co martwić. Nic mi się nie stało.

A zwracając się znów do antylopy powiedział:

— Szarabho, zapraszam cię na mój dwór. Będiesz moim honorowym gościem i wszyscy będą ci usługiwać.

— Panie, dziękuję za tak zaszczytne zaproszenie — powiedział Szarabha — ale tutaj w lesie jest mój dom i moi przyjaciele. Na co dzień służę im radą i pomocą. Nie mogę zbyt daleko się stąd oddalać. Okazywaną mi łaskę i tak zaszczytną chęć goszczenia mnie, zamień, panie, na okazanie współczucia i dobroci dla najbiedniejszych z twoich poddanych, a sprawisz mi tym wielką radość. Bądź, panie, cierpliwy i wybaczej błędy nawet swoim wrogom, a wtedy będę wiedział, że doświadczenie dzisiejszego dnia nie przeminie bez śladu, ale jakaś jego część zostanie na zawsze w twym sercu. Wracaj spokojnie do swych dworzan, którzy zapewne z lękiem cię poszukują. Niech przyszłe lata będą dla ciebie szczęśliwe!

Jeleń Ruru

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Mistrz narodził się i żył jako jeleń Ruru w pięknym lesie pod Himalajami. Futro tego jelenia lśniło złotą barwą, na której widniały pasemka innych odcieni przypominające poświęcę różnych szlachetnych kamieni i minerałów. Jego oczy błyszcząły różnymi odcieniami błękitu a wielkie, piękne poroże przypominało zwielokrotnione rozgałęzienia koralowca. Ruru wiedział, że byłby cennym łupem i trofeum każdego zapalonego króla — myśliwego, a może nawet samego cesarza. Z tego też względu był nadzwyczaj czujny, ostrożny i starał się nigdy nie zbliżyć do ludzi. Poruszał się tylko po oddalonych i zalesionych regionach dolin. Pewnego dnia, niespodziewanie usłyszał przepęłnione lękiem krzyki jakiegoś człowieka. Pełen współczucia dla wszystkich stworzeń momentalnie pospieszył zabląkanemu w tym odludziu człowiekowi na ratunek. Okazało się, że jakiś wieśniak zapędził się w tutejsze bezdroża i pragnąc przejść przez rzekę został porwany przez jej rwący nurt. Uznając potrzebę udzielania pomocy ważniejszą od konieczności ukrywania się i narażając się na zdemasko



wanie Ruru bez wahania wskoczył w nurt. Podpłynął do tonącego już biedaka, tak blisko, aby ten mógł się chwycić jego sierści i drżąc z zimna i wysiłku płynął z niedoszłym topielcem do brzegu. Z trudem dopłynął, ale gdy na nim stanął był całkowicie wyczerpany i ciężko oddychał, a serce waliło mu jak młotem. Wieśniak, cudem wyratowany z rąk boga śmierci Jamy, padł przed nim na ziemię powtarzając:

— Dzięki, ci szlachetna istoto! Uratowałeś mi życie, które ja naraziłem na utratę przez swą lekkomyślność. Chciałem przepłynąć rzekę, a przecież marnie pływam. Dzięki ci, piękny jeleniu, doprawdy musisz być boska istotą w ciele tego zwierzęcia.

Bodhistattwa poprosił w zamian za okazaną łaskę, aby wieśniak nikomu, nigdy nie opowiadał o tym spotkaniu i było to jedyne jego życzenie wobec uratowanego. Mężczyzna zaklinał się na wszystkich znanych i nieznanach bogów, na głowy swych dzieci i na wiele jeszcze innych bezcennych dla niego wartości, że nigdy nikomu nie zdradzi miejsca pobytu jelenia. Później Ruru wyprowadził zabłąkanego na drogę wiodącą do najbliższej wsi i rozstali się w przyjaźni.

W jakiś czas później zdarzyło się, że królowa tej krainy miała sen, w którym ukazał się jej piękny jeleni o maści takiej jak Ruru, o podobnym spojrzeniu i porożu. Zapragnęła go mieć w swoim parku. Wyjawiała swe pragnienie małżonkowi, a że ten ją bardzo kochał, postanowił spełnić to marzenie. Ogłosił przez heroldów, że każdy, kto wskaże miejsce pobytu takiego jelenia dostanie w zamian wiele sztuk złota i kawałek pola. O tej nieprawdopodobnie interesującej okazji na wzbogacenie się usłyszał również wieśniak — niedoszły topielec, uratowany przez Ruru. Z natury był on dobrym człowiekiem, ale był również

bardzo biedny i na dodatek, z powodu przewlekłej choroby żony, obarczony sporymi długami. Walczyło w nim poczucie, że nie należy zdradzić złożonej Ruru przysięgi z żądzą wzbogacenia się. Wreszcie to ona zwyciężyła i biedak, co sił, popędził na dwór. Już od bram krzyczał:

— Wiem! Wiem, gdzie można znaleźć cudownego jelenia! Powiem to jednak tylko samemu królowi!

Ponieważ nie zgłosił się dotąd nikt z podobną propozycją został szybko dopuszczony przed królewskie oblicze.

— Czy na pewno wiesz gdzie przebywa jeleni? Nie możesz nas zwodzić bezsensownym poszukiwaniem, bo wtedy zamiast nagrody dostaniesz sto batów! — oznajmił władca surowym głosem.

— Wiem, panie, nie kłamie. Widziałem jelenia na własne oczy. Jest taki jak opisała go królowa. Przepiękny, a na dodatek mówi ludzkim głosem!

— Mówi ludzkim głosem? — Zastanowił się monarcha. — To brzmi zbyt bajkowo. Chyba nie igrasz ze mną?

— Panie, na pewno zaprowadzę łowczych do niego. Znam drogę.

Ruru usłyszał z daleka zbliżanie się myśliwych. Gdy sam król zbliżył się do niego z wycelowaną w ofiarę strzałą Ruru głośno krzyknął.

— Stój, panie, nie chcesz chyba popełnić zabójstwa na istocie mówiącej ludzkim głosem? Kto cię tu przywiódł? Musiał być to zapewne jakiś niegodziwiec, z którym nie powinien przestawać dzielny monarcha.

Młody władca wskazał dłonią na wieśniaka. Wtedy Bodhistattwa opowiedział dokładnie całą historię, jak uratował chłopu

życie, narażając własne, opowiedział o przysiędze wieśniaka i o jej złamaniu.

— To czyn niegodny, złamać przysięgę zwłaszcza wobec osoby, która uratowała życie, temu żadnemu pieniędzy wyrzutowi.

Król zapalał gniewem.

— Nie będzie nagrody tylko sto batów i wyrzucenie z mego królestwa! — grzmiał monarcha.

— Panie, surowość twoja jest uzasadniona i sprawiedliwa — rzekł Ruru. — Musisz jednak zrozumieć, że bieda i głód są złymi doradcami i wystawiają nędzarzy na pokusy, których nie zna i nie rozumie człowiek syty.

— Piękny jeleniu! Będzie dla nas zaszczytem, jeśli zgodzisz się wraz z moim orszakiem, w pełni dobrowolnie odwiedzić królową, moją żonę. To ona właśnie, w proroczym śnie, widziała cię, jak żywego i zapewne chciałaby też skorzystać na twoich moralnych naukach. Zrób, proszę mi tę łaskę! A ten biedak niech mi zniknie z oczu i już nigdy mi się nie pokazuje.

Później monarcha wydał wielkie przyjęcie na cześć Ruru, a ten pozostał czas jakiś na dworze, nauczając o ścieżkach dharma.

Król małp

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno temu, kiedy w Benares rządził król Brahmadata, w himalajskiej dolinie Bodhisattwa żył jako małpa. Kiedy dorósł i osiągnął dojrzałość, był silny i energiczny. Dowodził stadem, które liczyło około osiemdziesięciu tysięcy małp. W pobliżu brzegu rzeki Ganges rośnie drzewo mango z konarami i gałęziami, dające głęboki cień, jak szczyt góry. Jego słodkie owoce, o boskim zapachu i smaku, były duże jak dzbany na wodę. Z wielu gałęzi owoce spadały na ziemię, ale z jednej do wody Gangesu. Raz Bodhisattwa, jedząc owoce z grupą małp, pomyślał: Pewnego dnia spotka nas niebezpieczeństwo z powodu owoców tego drzewa spadających do wody. Tak więc, aby nie zostawić żadnego owocu na gałęzi, która rosła nad wodą, kazał zrywać kwiaty, gdy tylko pojawiały się pąki. Pomimo to jeden dojrzały owoc, niedostrzeżony przez osiemdziesiąt tysięcy małp, ukryty w gęstym listowiu, wpadł do rzeki i niesiony przez wodę utknął w sieci obok króla Benares, który zażywał kąpeli. Król spędził cały dzień na rozrywkach w wodzie wraz z dworzanami. Pod wieczór, kiedy miał wracać do pałacu,

rybacy, którzy wyciągali sieć, zobaczyli piękny owoc i nie wiedząc, co to jest, pokazali go królowi.

Król zapytał:

— Cóż to za owoc, taki piękny, o tak intensywnym zapachu?

— Nie wiemy, panie — odpowiedzieli rybacy, gdyż nic takiego wcześniej nie widzieli.

— Kto może wiedzieć?

— Leśnicy, panie.

Władca kazał więc wezwać leśników i dowiadując się od nich, że jest to mango, przeciął je nożem i najpierw kazał jeść leśnikom, potem jadł sam i dał po kawałku swoim dworzanom. Smak dojrzałego mango owładnął całe ciało króla. Ogarnięty pragnieniem, aby spożywać owoce częściej, pytał leśników, gdzie rosną takie drzewa. Słyszac, że jest tylko jedno takie drzewo i rośnie na brzegu rzeki, w dolinie Himalajów, rozkazał połączyć wiele tratw i popłynąć w górę, drogą wskazaną przez leśników. Dokładna liczba dni tej wyprawy nie jest znana. W końcu wyprawa dotarła do celu. Leśnicy powiedzieli do króla:

— Panie, to jest to drzewo, o które pytałeś.

Król zatrzymał tratwy i w dużym towarzystwie dalej udał się pieszo, po czym kazał sobie przygotować namioty u podnóża wielkiego drzewa. Po zjedzeniu kolejnych owoców mango i rozkoszowaniu się ich nieprawdopodobnym smakiem, z każdej strony drzewa rozstawił strażę i kazał rozpalić ogień. Gdy ludzie zasnęli, o północy pojawił się król małp — Bodhisattwa ze swoimi towarzyszami. Osiemdziesiąt tysięcy małp poruszających się z gałęzi na gałąź jadło mango czyniąc przy tym sporo hałasu. Król obudził się i widząc stado małp, wezwał łuczników i powiedział:



— Otoczcie te małpy, które zjadają mango, tak żeby nie mogły uciec, i zastrzelcie je. Jutro będziemy jeść mango z mięsem małp.

Łucznicy natychmiast rozbiegli się wokół drzewa z gotowymi do strzału łukami. Na ten widok małpy, bojąc się śmierci, zwróciły się do Bodhisattwy:

— Panie, łucznicy stoją wokół drzewa, mówiąc: „zestrzelimy te bezdomne małpy”. Co mamy zrobić?

Król małp odpowiedział:

— Nie bójcie się, uratuję wam życie.

Tak pocieszając swych poddanych, wspinał się na gałąź, która rosła pionowo, przeszedł wzdłuż kolejnego konara, ciągnącego się w stronę Gangesu, i skacząc z jego końca, przebył sto długości łuku, po czym wylądował w zaroślach na brzegu. Wtedy zaznaczył odległość, mówiąc:

— To będzie dystans, jaki przebyłem.

Następnie odciął bambusowy pęd przy ziemi i czyszcząc go powiedział:

— Tyle samo będzie przyczepione do drzewa i tyle samo będzie zwisać w powietrzu.

Wyliczając dwie długości, zapomniał o części przyczepionej do własnego pasa. Biorąc rozpęd przymocował jeden jego koniec do drzewa na brzegu Gangesu, a drugi do własnej talii, następnie wykonał wielki heroiczny skok ku wielkiemu drzewu na drugim brzegu. Jednak, ponieważ pomylił się w obliczeniach, nie udało mu się wskoczyć na drzewo, lecz wyciągając ręce uchwycił tylko pobliską gałąź. Później krzyknął do małp:

— Szybko ruszajcie, krocząc po moich plecach wzdłuż pędu bambusa!

Osiemdziesiąt tysięcy małp uciekło w ten sposób, po drodze dziękując poświęcającemu się Bodhisattwie. Dewadatta, odwieczny wróg Oświeconego, był na końcu uciekającego stada. Pomyślał: To jest szansa, aby zobaczyć koniec mojego wroga.

Wspinał się na gałąź i z wysokości skoczył na plecy wroga. Serce Bodhisattwy pękło w paroksyzmie bólu i Oświecony dogorywał. Król Brahmadata, obserwując tę scenę powiedział:

— To zwierzę, nie patrząc na własne życie, zapewniło bezpieczeństwo całemu stadu. Niedobrze jest zabijać króla małp, zabiorę go ze sobą i zajmę się nim.

Wracając tratwą w dół Gangesu, zorganizował pomoc dla Bodhisattwy. Przyodział go w żółtą szatę, umył w rzece, dał do picia osłodzoną wodę, sprawił, że lekarz oczyścił małpie ranę i nasmarował oliwą, potem zaś położył go na pościeli. Sam usiadł obok i wypowiedział te słowa:

Zrobiłeś ze swojego ciała most dla stada,
aby przeszło bezpiecznie,
Kim jesteś dla nich, małpo,
kim oni są dla ciebie?

Słyszając te słowa, Bodhisattwa wypowiedział kolejne wersy:

Wspaniały królu, chronilem stado,
jestem ich panem i przywódcą,
Kiedy były ogarnięte strachem
przed tobą i pogrążone w żalu.
Skoczyłem na stukrotną długość
rozciągniętego łuku,

Doskoczyłem do drzewa
jak błyskawica pędzona podmuchem wiatru,
Straciłem siłę, ale schwyciłem konar,
trzymałem go mocno dłońmi.
I gdy tak wisiałem rozciągnięty,
trzymany przez pęd i konar,
Moje małyprzeszły po moich plecach
i są teraz bezpieczne.
Dlatego nie czułem żadnego strachu
przed śmiercią, ani bólu więzów,
Szczęście tych, nad którymi panowałem
było dla mnie wygrana.
Parabola dla ciebie, królu,
jeśli odkryjesz tu prawdę.
Szczęście królestwa i armii, i zwierząt
Musi być ci drogą, inaczej nie będziesz panował.

W ten sposób Bodhisattwa pouczając króla, zmarł. Król wezwawszy swoich ministrów, wydał rozkazy, aby król małp miał ceremonię pogrzebową jak prawdziwy władca, i posłał po dworzan, mówiąc:

— Chodźmy na cmentarz, jako świta króla małp, z czerwonymi szatami i rozczochranymi włosami, i pochodniami w dłoniach.

Ministrowie zrobili z drzewa stos pogrzebowy. Po pogrzebie Brahmadata kazał zbudować kaplicę w miejscu pochówku Bodhisattwy. Kaplicę dekorował kwiatami i kadzidłem do końca życia. Przyjmując jego nauki, czynił dobro i dawał jałmużnę, a panując uczciwie, zasłużył na obecność w niebie.

Nauczyciel wrozumiałości

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Mistrz był ascetą o silnym charakterze, nieustannie umacniającym swoją dążność do perfekcji i wyrzekania się ziemskich przyjemności. Cechował go spokój wewnętrzny, promieniował dobrocią i wrozumiałością wobec innych słabszych i błędzących istot. Był głęboko przekonany, że codzienne życie rodzinne stwarza za mało motywacji do ćwiczenia siły woli i unikania różnorodnych pokus. Życie ascety natomiast łatwiej przed nimi zabezpiecza. Jako istota silna duchem udzielał rad i pouczeń wszystkim, którzy rad potrzebowali, a pouczeń słuchać chcieli. Nazywany był przez okoliczną ludność zaszczytnym imieniem Kszantiwadin — Nauczyciel Wrozumiałości. Żył w lesie w miejscu dość odludnym, lecz pięknym przez dary natury, pełnym owoców, ptactwa i motyli. W pobliskim jeziorcu, co roku kwitły symbole czystości — różowe i niebieskie lotosy. Można było sądzić, że miejsce to przypomina Nandanę — boski ogród. Z rzadka odwiedzający te strony ludzie przychodzili pobierać moralne nauki od Kszantiwadina.

Pewnego razu przybył tu nawet miejscowy król z całym swym harem, aby wysłuchać rekolekcji ascety. Po przybyciu jednak do tego pięknego zakątka jego czar tak o władnął dworem, że uroczę dziewczyny zaczęły śpiewać, tańczyć, cieszyć się czarem tego pięknego zakątka. Ptaki swymi trelami zaczęły im wtórować, a pawie powtarzać taneczne figury. Nawet pszczoły zmylone zapachami ich perfum i pudrów zaczęły krążyć wokół niewiast zamiast spijać nektar z kwiatów. Wszyscy się cieszyli, śmiali, plotkowali. Król brał w tych zabawach czynny udział. Na koniec jednak zmęczony podróżą i pewną ilością wina, zasnął spokojnym snem na delikatnej murawie. Dziewczęta nie chcąc budzić monarchy oddaliły się zrywając kwiaty, i co piękniejsze liście, z otaczającego je lasu. Ustroiły się girlandami owego kwiecia, pozostawiając biedne krzewy i drzewa bez naturalnych ozdób. Na koniec dotarły do miejsca gdzie mieszkał Kszantiwadin. Na nic się zdały zakazy haremovej służby, aby nie niepokoiły ascetę. Uparte dziewczęta, a szczególnie nałożnice królewskie, nie chciały nikogo słuchać. Podochocone śpiewami i tańcami starały się być coraz bardziej zalotne.

Zastały ascetę w pozycji medytacyjnej, siedzącego pod drzewem dającym chroniący cień. Wydawał się emanować wewnętrznym spokojem i dostojnością. Jego wyćwiczony umysł ani na chwilę nie zakłóciła obecność rozszczebiotanych piękności. Powaga mędrca w końcu uciszyła rozhukane panny. Usiadły dookoła mędrca w skupieniu. Wtedy asceta grzecznie je przywitał, jak na gospodarza tego miejsca przystało. Później powiedział delikatnie:

— Cóż, piękne panie, może porozmawiamy teraz o powin-

nościach poszukiwania właściwej drogi życia, którą każda rozumna istota powinna podążać? Wszak każda istota, z natury pełna emocjonalności i pasji, źle czyni, jeśli dni swoich nie naznaczy pięknymi uczynkami, nie powinna się oszukiwać, że tak płochą i beztróską pozostanie na zawsze. Nie zabierzemy ze sobą do innego świata, naszej piękności, zasług ani bogactwa. Nasza dobroć, wspaniałomyślność, życzliwość czy współczucie wobec wszystkich żyjących istot na zawsze zostanie naszym świadectwem. Kwiaty, zapachy, kolory to naturalne ozdoby krzewów i drzew. Prawdziwymi klejnotami ludzi są cnota, pobożność i dobre uczynki. One nie przekwitają, nie tracą swej wartości i nie przemijają. Wiedząc o tym, należy unikać niegodziwości i zwrócić się ku czynieniu dobra. I to jest droga do prawdziwego szczęścia i wiecznej chwały. Niegodziwość jest jak ogień, rozprzestrzenia się szybko i potrafi spopielić, nawet czyjeś dobre na początku życia, serce.

W czasie tego podniosłego monologu ascety, do siedzących zbliżył się król, który obudził się, co prawda, ze snu, ale jeszcze całkiem nie wytrzeźwiał. Widząc swoje kobiety, rozmodlonym wzrokiem, wpatrujące się w tego starego mężczyznę i darzące go niespotykanym u nich respektem, zatrzęsł się z gniewu, jakby asceta skradł mu część jego własnych praw do bycia adorowanym. Podniósł głos i mimo prośb trzeźwiejszych dworzan, aby nie krzyczał na szanowanego przez wszystkich guru, nie mógł się opanować:

— Ten lubieżny starzec plecie o szlachetności, a jakim dziewczynym wiankiem się tu otoczył! Gdyby mógł skradłby mi cały harem! Toż to hipokryta i oszust! Trzeba go napiętnować!

Kobiety poderwały się i otoczyły swego władcę.

— Panie, nie czyni nic gwałtownego. Ten asceta, to szlachetny Kszantidewin!

Niestety, diabeł złości opanował umysł monarchy i zatrął jadem jego serce. Wyciągnął miecz i trzymając go w niepewnych po przepiciu rękach zbliżał się do ascety, chcąc odciąć mu głowę. Ten jednak siedział spokojny i w łagodnych słowach odezwał się do nadciągającego jak chmura gradowa, groźnego monarchy:

— Panie, kto, jak kto, ale monarcha musi działać rozważnie i z namysłem. Gdy jest porywczy może zgubić siebie i cały kraj. Rozsądek i rozwaga dodaje władcom tylko większej chwały. Odsuń od siebie złość — złego doradcę i z opanowaniem rozważ raz jeszcze, co tu widziałeś.

— Ja cię nauczę szacunku do osoby władcy — krzyknął król i jednym ruchem odciął ascecie rękę, która akurat była w geście nauczania, tak, że obcięte palce świętego upadły daleko w trawę. Później krzycząc odciął mu drugą rękę. Lecz nawet wtedy, gdy ciało jego rażone było ostrym mieczem, a ręce odpadały od ciała, asceta ani na chwilę nie reagował gniewem czy złością, a z powagą i litością patrzył na miotającego się monarchę. I takie samo pozostawało jego spojrzenie aż do momentu, gdy wyzionął ducha.

Los króla był również tragiczny. Gdy wrócił do pałacu i chciał zaznać trochę wytchnienia w swym pięknym ogrodzie, ziemia się przed nim otworzyła i pochłonęła nieszczęśnika.

Okropności piekieł

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Bodhisattwa dzięki trwającemu przez wiele wcieleń życiu, w którym spełniał tylko dobre uczynki, wykazywał bezgraniczne współczucie i miłosierdzie dla wszystkich istot żyjących, odrodził się jako bóstwo w Brahmaloka — najwyższym niebie. Uważał on bowiem, że:

Nawet miłość zmysłowa może uczynić
człowieka bezwartościowym i potępionym.
Lecz cnotliwy nigdy nie będzie krył
chęci by dawać innym dobro,
nawet gdy oddaje się medytacji.

Z owej Brahmaloki, z góry spoglądał Bodhisattwa na ziemię, na kraje, w których kiedyś żył. Wszędzie widział wiele pożądliwości, nieprawości, gwałtów i przemocy. Uwagę jego przykuł król Angadinna, władca Widehy. Od lat władca ów wpadł w złe towarzystwo i stracił wszelkie zainteresowania sprawami duchowymi. Nie zajmowała go ani religia, ani dobroczynność, nurzał

się tylko w zmysłowych uciechach, alkoholu i sadyzmie. Odsunął od siebie wszelkie księgi, zarówno opisujące szlachetne postępowanie dzielnych bohaterów, jak i wszelką pożyteczną wiedzę, mogącą poprawiać kondycję kraju stopniowo zatapiającego się w stagnacji i mizierii. Nie miał uznania dla kapłanów, a wszystkich z kasty bramińskiej traktował obcesowo. Wygonił z kraju ascetów, świętych i uczonych. Na swym dworze chętnie gościł wszelkiego autoramentu magików, aferzystów, sprytnych oszustów. Za jego rządów powstało wiele nowych zamtułów, a dziewczki lekkich obyczajów na ulicach łowiły lekko-myślnych mężczyzn. Kraj popadał w długi i wkrótce stałby się bezbronnym łupem sąsiadów, gdyż armia była wiecznie pijana, a dowódcami zostali wyłącznie kompani burd i biesiad króla.

Zmartwił się, patrzący z Brahmaloiki na te wszystkie niegodziwości Bodhisattwa. Zjechał na dół, na ziemię na słonecznym promieniu i stanął przed nieszczęsnym, do zatracenia dążącym Angadinną. Przemówił do niego słowami pełnymi zatroskania:

— Królu Angadinno, opanuj się! Nie zdzierzyłem dłużej patrzeć na niegodziwości dziejące się w twoim, niegdyś tak pięknym i bogobojnym kraju. To za twoich rządów wszelki ład został tu przewrócony do góry nogami. Potępiasz cnotliwych, a niegodni z ciebie biorą przykład, nagradzając takich jak oni sami.

Na te słowa, widząc świetlistą boskość gościa, pomiarkował się król, ofiarował bóstwu wodę, obmył mu stopy i przemówił do Bodhisattwy słowami słodkimi, pełnymi udawanej pokory:

— O, wielki święty! Dziękuję ci, że mnie odwiedziłeś. Twój blask boskości lśni bardziej niż tysiące słońc. Powiedz, z jaką nowiną do mnie przybywasz?

— Jeśli postać moja promienieje, to ów blask jest wynikiem pobożnego i pełnego współczucia przeżycia wszystkich mych poprzednich wcieleń. Każdy sprawiedliwy może do tego dążyć i w efekcie może zbliżyć się do boskiej chwały.

— Mój niebiański gościu, czy jest tak, jak wmawiają nam wszyscy świętoszkowie, czy jest jakieś życie, po tym życiu?

— Tak — odparł Bodhisattwa — istnieje ono na innym świecie.

— Jak mamy w to uwierzyć, boska istoto? — pytał skonfundowany władca Widehy.

— Jest to uchwytnie, o ile stać będzie człowieka na wzbogacanie swej percepcji. Tak jak słońce adoruje niebo a księżyc jest adorowany przez gwiazdy, wszystkie żyjące istoty przez mnogość swych postaci i bogactwo formy są wskazówką na istnienie jeszcze innej wyższej siły i innego bytu, i innej egzystencji. Nie powinieneś w to wątpić. Wielu umiejących medytować potrafi przypomnieć sobie fakty z poprzedniej egzystencji, a nowo narodzone dziecko też wyposażone jest w okruchy wiedzy i potrafi zachowywać się tak, jakby dbało o swoje życie. To wszystko wyraźnie wskazuje, że istnieje jakieś życie poza tym, w którym aktualnie istniejemy. Wiemy też, że dzieci mają niekiedy charakterystyki zdecydowanie odmienne niż ich rodzice, a nie może tak być bez przyczyny. Wszak muszą być jakoś obciążone i dziedziczyć wady lub zalety ze swych poprzednich egzystencji.

— Ależ, panie — powiedział król — przecież kwiaty lotosu otwierają się i zamykają same, tak jak noworodek wie, że potrzebuje ssać pierś kobiety. Czy i kwiaty mają duszę, która wędruje przez różne egzystencje.

— Nic nie dzieje się bez przyczyny, mój panie — odparł Bodhisattwa.— Słońce tak działa na kwiaty, że się otwierają i zamykają. Jednak noworodek przychodzi na świat z pewną podstawową wiedzą o poprzedniej egzystencji. Ważnych, życiowych wiadomości nie może zagubić, boby nie przeżył.

— Boski posłańcu, widzę, że głęboko wierzysz w to, co mówisz, wierzysz w przyszłe życie — stwierdził, nie całkiem przekonany, król. — Dlatego mam dla ciebie nęcącą propozycję: pożycz mi w tym życiu pięćset złotych monet, a ja ci oddam w przyszłym tysiąc. Zgoda?

— Królu, zapewne wiesz, że wszyscy powinni być w sprawach pieniężnych bardzo rozważni. Wiesz też, że nikt nie udzieli pożyczki człowiekowi, który prowadzi hulaszczy tryb życia, jest leniwy i ma słaby charakter. Pożyczanie pieniędzy takim ludziom zawsze prowadzi do ruiny. A ty, panie, prowadzisz ryzykowne życie. Tracisz nie tylko swój majątek, ale panując, zubażasz swój lud, rujnujesz kraj, zaprzepaszczasz szansę na pomyślne odrodzenie się w przyszłości. Jak może oddać w przyszłości pieniądze ktoś, kogo czeka piekielna cześć bez dna? Cóż może zdziałać ktoś przebywający w samym jądrze świata potępieńców? Ktoś zaabsorbowany przesywającymi, palącymi i szarpiącymi bez przerwy bólami. Czy będzie mógł nawet przez moment pomyśleć o długu, który zaciągnął? Czy może mieć na uwadze długi, ktoś przygnieciony skalnym masywem wielkim jak Sangata, kruszony przez jej ciężar na drobny piasek, gdzie każda jego drobinka jest obciążona, bólem tak wielkim, jakby przeznaczony był dla całego świata? A o czym może pomyśleć szarpany i rozrywany na kawałki przez nieubłagane sługi boga śmierci — Jamy? Przecież po tysiąckroć prze-

żywa on w każdej chwili swą agonię, bez widoku na przyszłość, bez pomocy, nawet bez współczucia. Może też dla odmiany przeżywać zawijanie w czerwone od gorąca żelazne blachy lub stałe wieszanie na haku. Ćwiartowanie ciała, łamanie członków, topienie w ekskrementach mogą być jego jedynym urozmaiceciem wiecznego pohańbienia.

Słyszając o wszystkich wymienianych piekielnych udrękach, które prawdopodobnie sam sobie zgotował, wystraszony król zaczął drżeć z lęku. Odganiał od siebie koszmarnie wyobrażenia swej przyszłej egzystencji, ale one wracały bez przerwy, jak krwi głodne wampiry. Wreszcie nie zdzierzył, rozplakał się i rzucił do stóp bóstwa.

— Panie, mój umysł był zamglony przez pożądanie, zamącony przez złych kompanów, zagubiony na drogach nieprawości. Ratuj mnie! Powiedz, jak uniknąć tych wszystkich odmian piekielnej przyszłości? Złe uczynki zamąciły mój umysł. Jestem jak dziecko, które gubiąc drogę szybko pograżało się w bagnie. Ratuj mnie, panie!

Bodhisattwa, współczujący każdej zabłąkanej duszy, w swej dobroci gotów nawet wybaczyć nawróconemu demonowi, objaśnił drżącemu w lęku królowi zasady godnego, sprawiedliwego i umiarkowanego życia. Wiele mówił o współczuciu dla wszystkich cierpiących, o konieczności naprawiania wyrządzonych ludziom krzywd, o szanowaniu przewodników duchowych, ascetów i innych, którzy swe życie poświęcają i mają na celu dobro ogółu. Tym sposobem rozjaśniony został mrok w sercu króla, rozwiane mgły niepewności i pojawiła się prosta droga, prowadząca do przyszłego odrodzenia w godnym życiu.

Słoń

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu w himalajskiej dolinie Bodhisattwa żył jako potężny słoń. Dolina była piękna i bogata w zieleni. Drzewa mango owocowały obficie, inne starały się nie ustępować im w bogactwie swych darów, olbrzym dzielił się z małpami i ptakami. Nieliczne polany w tej głuszy pełne były soczystej trawy. Słoń prowadził życie spokojne, dostatnie praktycznie pozbawione kłopotów. Z powodu oddalenia i pustyni, która oddzielała ten bliski rajowi zakątek, ludzie praktycznie tu nie docierali. Nie było więc zagrożenia ani niszczącej eksploatacji, jakie związane są z naszą rasą. Słoń żywi się tylko roślinami, których było tu pod dostatkiem. Ten olbrzym jednak w owej krainie obfitości zachowywał się powściągliwie. Jadał tyle tylko, ile potrzebował do utrzymania się w dobrym zdrowiu. Stronił nawet od przysmaków, za którymi jego gatunek przepada, takich jak świeże pędy lotosów. Rzec by można, że ten atleta wśród zwierząt miał zaznaczoną skłonność do umiarkowania, a nawet ascezy. Nikogo to jednak nie dziwiło w tym odludziu, a prowadząc samotnicze życie nie bywał przez inne słonie ani



chwalony, ani krytykowany. On sam przyjął własne moralne zasady: żyć powściągliwie, nikomu nie zadawać gwałtu, a nawet uważać, aby swą siłą i wielką masą, przez przypadek, nie zranić żadnego. Starał się też bez potrzeby nie niszczyć otaczającego i żywiącego lasu.

Pewnego dnia od strony pustyni wypełnionej bezmiarem jałowego piasku doszły go jakieś dziwne i niespotykane nigdy odgłosy. Były to zawodzenia, jęki, płacze, oznaki desperacji i zgrozy. Wiedział, że to ludzie je wydają i najpewniej znaleźli się w jakiejś groźnej sytuacji. Przeszedł przez knieję, zbliżył się do granicy lasu i zaczął obserwować. Jego oczom ukazała się znaczna gromada ludzi, którzy najwyraźniej opadli już z sił, a wielu nawet leżało na piachu jak nieżywi. Pomyślał: Ci ludzie są wycieńczeni i niechybnie grozi im wszystkim śmierć w męczarniach. Trzeba im pomóc!

Wyszedł z lasu i popędził w ich stronę. Biedacy, przekonani, że olbrzym na nich szarżuje, z trudem podnosili się i próbowali uciekać. Wielu jednak nie miało nawet sił ratować życie. Z przerażeniem patrzyli na zbliżające się zwierzę i wznosili ręce do nieba, w geście ostatniej modlitwy. Słoń raptownie zatrzymał się przed ludzką gromadą, zrobił to tak szybko, że aż wzbił tumany drobnego piasku. Gdy wreszcie on opadł, Bodhisattwa przemówił ludzkim głosem, wzbudzając jeszcze większą konsternację wśród załęczonych:

— Nie bójcie się. Chcę wam tylko pomóc, bo widzę, że jesteście w strasznej niedoli. Przypuszczam, że zgubiliście drogę, ale jak to się stało, że tak wielka gromada się zagubiła? Ja tu mieszkam i znam całą okolicę więc może będę mógł służyć dobrą radą.



Ludzie, gdy tylko usłyszeli życzliwe wypowiedzi, i na dodatek w ich języku, uspokoili się szybko i zaczęli przekrzykiwać się w wyjaśnieniach. Wynikało z nich, że są grupą, która sprzeciwiła się woli króla — tyrana, z sąsiedniego kraju i w efekcie zostali wszyscy wygnani na pustynię na zatracenie. Początkowo liczyli tysiąc osób, a teraz przy życiu zostało tylko siedemset, w tym wielu chorych, a nawet umierających z głodu i pragnienia. Dawno już nic nie jedli, a pili ostatni raz trzy dni temu.

Nie znam tych ludzi i nie wiem, czy mieli rację, buntując się przeciw królowi — pomyślał słoń. Jednak nie można dopuścić, aby tak wiele istot zginęło marnie. Przecież życie każdej istoty jest cenne, niepowtarzalne i jedyne w swoim rodzaju. A tu jest ich tak wielu. Za dzień, dwa, nie będą już żyli, jeśli im nie pomogę. Jak ich nakarmić i napoić? Przecież oni nie jedzą trawy ani liści. Chyba ofiaruję im swoje ciało. Wszak ono jest i tak nietrwałym miejscem przebywania mego ducha. Chyba tak muszę zrobić. Zwrócił się do ludzi przed nim, z których wielu nawet na nogach nie mogło się utrzymać:

— Widzicie zapewne, tam niedaleko, za kilkoma wydmami stojącą skałę. Zaraz za nią jest źródło, a przy nim leży martwy słoń. Idźcie tam, zabierzcie swoich chorych, a napojcie się i nasycicie mięsem tego zwierzęcia. Później z jego jelit zrobicie bułki na wodę i tak zaopatrzeni idźcie dalej prosto. W tamtym kierunku pustynia rychło się skończy i dotrzecie do zamożnego królestwa, którego władca ma od dawna na pieńku z waszym królem. Na pewno was przyjmie i dla każdego znajdzie pracę i dom. Idźcie więc niezwłocznie — przynaglał Bodhisattwa — bo słońce tu jest mordercze na tym pustkowiu.

— Dzięki ci, panie, za twą życzliwość i szlachetność! Życzy-

my ci pomyślności, długiego i szczęśliwego życia! Zaraz wyruszymy, w kierunku wskazanym przez ciebie.

— Idźcie, już idźcie!

Gdy zbłąkami zbierali się, aby udać się w kierunku wskazanej góry, i zabierali swych bezsilnych towarzyszy, Bodhisattwa szybko popędził inną drogą, też w jej kierunku. Minęło trochę czasu, gdy strudzeni biedacy przeszli obok góry i natrafili na źródło z ożywczą wodą. Napoili swych towarzyszy, nasycili się sami i nowe siły wydawały się w nich wstępować. Pojawiła się nadzieja i ona dodała biedakom jeszcze więcej animuszu. Niebawem jeden z nich dostrzegł u podnóża góry leżącego martwego słonia. Musiał on ulec wypadkowi niedawno. Podeszli i ze zdziwieniem spoglądali na ogromną górę mięsiwa, czekającą na nich.

— Zaraz, zaraz — zaczął krzyżeć jeden z nich — spójrzcie na te plamy wokół oczu martwego słonia! — I na postrzępione u dołu uszy — wołał drugi. — Przecież nasz olbrzym miał takie same! — To jest on — krzyżeli pozostali. — Mówił, że tu znajdziemy martwego słonia. Pewnie, dopiero, co, skoczył z tej skały. Poświęcił dla nas życie. To musiała być jakaś boska istota.

I mieli rację.

Wygnańcy po sytym jedzeniu i nabraniu sił wypełnili jelita zwierzęcia wodą i ruszyli we wskazanym kierunku. Wielu się jeszcze oglądało za siebie, szepcząc modlitwy dziękczynne. Na koniec dotarli do królestwa, w którym rządził sprawiedliwy monarcha, gdzie zostali z chęcią przygarnięci, tak jakby na nich od dawna czekano.

Książę Sutasoma

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Mistrz narodził się jako Bodhisattwa w znanej rodzinie Kurawów, wojowników słynących z męstwa i niezłomnych przekonań. On też wyróżniał się spośród swych rówieśników bystrością, odwagą i wszelkimi danymi wskazującymi, iż będzie kontynuował wielką tradycję swego rodu. Z jego pięknej jak księżyc twarzy bił blask, który pojawia się wśród dzieci raz na kilka pokoleń. Z tego powodu nadano mu imię „Księżycowego Dziecka” — Sutasomy. Chłopiec był też pilnym uczniem. Szybko zapoznał się z Wedami, owym od starożytności bijącym nieprzerwanie źródłem wiedzy w Indiach. Znał ponadto prawie wszystkie komentarze do nich, teksty pomocnicze, interpretacje i obszerne wyjaśnienia. Książę był od dziecka uczony też o istocie działań dobroczynnych, o ćwiczeniach nad wzmocnieniem pozytywnych cech charakteru, o współczuciu dla wszystkich istot i wiedzę tę przyjmował z pełnym zrozumieniem, wcielając w codzienne uczynki. Miał ponadto jasne, radosne nastawienie do życia, czysty umysł i fenomenalną pamięć. Było pewne, że dla tak dobrze zapowiadającego się



młodzieńca, władca znajdzie odpowiednie wysokie stanowisko w swej radzie lub wśród dowódców wojskowych, a być może zostanie wyznaczony na następcę tronu.

Pewnego razu Sutasoma udał się do pobliskiego lasu, by nasycić się jego wiosennymi urokami. Cała przyroda obudzona do życia, wydawała się gorliwie służyć swym pięknem chwalejącym jej stwórcę. Kwiaty, jakby stawały do konkursu piękności, każdy starał się, by właśnie jego kolory i zapachy były jak najbardziej nęcące, licząc na wyprzedzenie innych w tej rywalizacji. Roje pszczół jak pijane buszowały w pięknym poszyciu lasu i wśród gałęzi drzew. Liczne ptactwo przepęniało swym świergotem, trelami, kłaskaniem, kukaniem ów gaj. Od czasu do czasu kukułka smętnie przypominała o sobie, a paw stawał do konkursu piękności z kwiatami. Młody książę igrał w otoczeniu swych żon i przypominał zabawy Kriszny otoczonego wiankiem gopi. Kiedy słońce miało stanąć w zenicie, do owego leśnego uroczyska miał przybyć uczony bramin aby przedstawić księciu nieznaną mu jeszcze starodawne pismo, zaopatrując je w autorską interpretację. Ta zabawa i radość miała być zrównoważona również czasem na refleksję i ewentualną medytację.

Z głębi lasu jednak dały się słyszeć jakieś straszliwe hałasy. Pogoda była piękna, bezwietrzna, a jednak coś wywracało i łamało drzewa. Ziemia zdawała się drżeć pod czyjimiś wielkimi krokami. Kilku dworzan, którzy z lękiem pobiegli sprawdzić, co w tak okrutny i bezceremonialny sposób zakłóca ich rajską sielankę, powróciło drżąc na całym ciele z lęku i jękając się:

— Panie, o, panie, zbliża się do nas straszny kanibal Kalmaszapada Saudasa. Uciekajmy, bo z każdego z nas utoczy krwi,

a wszystkich niechybnie zagryzie. Ma on bowiem nadludzką moc, a energię czerpie z pożerania ludzi.

Widać było, że zbliżanie się potwora wystraszyło nie tylko cały dwór, ale i zwierzęta stawały się bardzo niespokojne. Nawet wielki słoń, którym przyjechał książę, zdradzał oznaki niepokoju.

— Kim jest ów Kalmaszapada? Jeszcze o nim nie słyszałem — pytał spokojnie młodzieniec.

— Panie, to straszna kreatura. Wcześniej był też księciem. Miał na imię Saudasa. Jego matka na pewien czas przed urodzeniem dziecka była porwana przez rozszalałego konia, daleko od domu, do głębokiego lasu. Żyła w nim przez pewien czas, a jej partnerem był straszliwy lew. Kiedy urodził się chłopiec, wróciła jednak do ludzi, a bezdzietny król zaadoptował malca, który wykazywał cechy królewskiego pochodzenia. Był nadzwyczaj odważny, bitny, a takiego następcy potrzebowało osłabione brakiem dziedzica królestwo. Jednak chłopak miał odziedziczoną nie tylko odwagę lwa, ale musiał się pożywiać ludzkim mięsem i pić krew. Po pewnym czasie tyranizował cały kraj i domagał się ludzkich ofiar. Wszedł w konszachty z demonami, tak jak on ludojadami, i obiecał im dostarczać regularnie najdelikatniejsze ludzkie mięso. Pochodzić ono powinno z młodych książąt i księżniczek. Teraz, niechybnie, przyszedł zabrać ci życie, panie.

— Nie uciekajmy, poczekajmy. Może nawrócę tego biedaka i wyzwolę jego duszę z sieci złych duchów. Muszę się z nim spotkać – mówił spokojnie książę do swego dworu. Czekał na przybycie Kalmaszapady. Ten niezadługo z hałasem wychynął z leśnej gęstwiny. Jego wygląd mógł przyprawić nawet zaharto-

wanego wojownika w drzenie. Dzikie oczy, grzywa z potarganych włosów mogła go upodabniać do lwa ogarniętego złością. Hałas, z jakim wystąpił wobec eleganckiego dworu księcia, jeszcze potęgował obraz nieokiełznania i dzikości.

— Ha, ha, mój książę. Przybyłem, aby cię pożreć. Będziesz kolejną ofiarą w mej kolekcji młodzieńców o szlachetnej krwi, jaką obiecałem zebrać ku chwale mych przyjaciół demonów. Żegnaj się więc ze swymi niewiastami, choć i one wyglądają apetycznie.

— Szlachetnie urodzony, panie — odpowiedział książę Sutasoma — jestem gotów stawić się do twojej dyspozycji, jednak wcześniej umówiłem się na parę chwil z uczonym braminem, który tu w okolicy miał mi pokazać nowo odkryte stare pismo. Nie wypada zawieść mi tego szlachetnego męża. Pójdę do niego i niebawem wrócę do ciebie. Wiesz, panie, że obietnic należy dotrzymywać, a szczególnie obowiązuje to nas, książąt.

Kanibal, do którego zaapelowano w tak grzecznej formie i wspomniano jego szlachetne pochodzenie zaczął się zastanawiać. Powiedział na koniec:

— Idź, mój książę, ale w czasie, jakiego potrzeba do odmówienia kilku mantr, masz być z powrotem. Nie licz, że mi uciekniesz. Jestem szybki jak wiatr i dogoniłbym cię niechybnie. Idź, daleś mi słowo, i wracaj niebawem. Głód czuję już coraz większy!

Książę udał się w kierunku miejsca, gdzie już oczekiwał na niego bramin. Wrócił nim minęło kilka chwil. Powiedział:

— Pozwolisz, panie, że zacytuję ci kilka zdań z poematu, który właśnie mi odczytano.

Zaczął recytować piękny utwór, owoc moralnych przemyśleń

jakiegoś zapomnianego poety. Słowa te wzruszyły wszystkich słuchaczy. Zasłuchał się też Kalmaszapada. Wtedy książę przerwał recytację i powiedział:

— Gościu, jestem do twojej dyspozycji.

— Książę — odezwał się kanibal — nie przerywaj, dokończ poemat. Wszak nigdzie nam się nie śpieszy.

Sutasoma dalej powtarzał zasłyszane strofy, a były one o szlachetności, współczuciu i poszanowaniu każdego życia, o zasługach, jakie gromadzimy przez dobre uczynki, i nagrodach, jakie samorzutnie z nich wynikają. O spokoju ducha i sumienia, o miłości innych ludzi, o możliwości wyzwolenia się z koła samary przez szlachetne postępowanie. Kalmaszapada słuchał tych słów z coraz większą uwagą. Zaczęły mu się przypominać dawne czasy, kiedy mógł żyć jak pogodny, beztroski młodzieniec na dworze swego ojca króla. Wszak picie ludzkiej krwi i żywienie się ich ciałami nie dawało zaspokojenia. Pragnienie nadal go dręczyło, a głodu nie mógł nasycić. Przeczynał, że jest to droga donikąd, do zatracenia, w głąb przepaści bez dna. W jego sercu obudziły się dawno nieodczuwane impulsy dobra, przenikały go, a wraz z nimi ogarniało go uspokojenie. Zamyślił się i postanowił odmienić swoje życie. Powiedział:

— Idź wolno, książę. Ja pójdę swoją drogą. Udam się do jakiejś pustelni, gdyż wiele spraw muszę jeszcze przemyśleć.

Księżę z Żelaznego Zamku

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno, dawno temu Mistrz narodził się jako Bodhisattwa w rodzinie królewskiej. Monarcha ogłosił ten dzień świętem w całym kraju, a ponieważ ów syn był boskim darem, od dawna wyczekiwany, to dwór i poddani mieli weselić się przez cały tydzień. Później, jeszcze przez wiele lat wspomniano atrakcje i szczodrość króla w owym czasie. Do królestwa zaproszeni byli najlepsi bębniarze, muzycy, sztukmistrze. Zewsząd zjechali kupcy ze swymi kramami. Król w czasie uroczystych przemarszów przez miasto rozrzucał szczerze wiele srebrnych monet. Dworzanie i dowódcy wojskowi dostali wiele odznaczeń i szacownych tytułów. Poeci układali ody na cześć szczęśliwej dynastii, powtarzając: „oby panowała wiecznie”. Więzienia zostały otwarte, a ich „użytkownicy” mogli znów cieszyć się wolnością. Z najodleglejszych stron Indii napływały gratulacje i cenne dary dla szczęśliwego ojca, matki i przyszłego dziedzica.

Doprawdy było czym się cieszyć, tym bardziej że wszyscy poprzednio urodzeni chłopcy w królewskim rodzie żyli zaledwie po kilka dni. Widać jakieś fatum wisało nad tym rodem.



To jednak chłopie miało się dobrze, rośło jak na drożdżach, uśmiechało się, wyciągając drobne rączki do rodziców i napełniając ich serca miodem.

Astrolorzy wyjaśnili władcy, że poprzednie niepowodzenia w przedłużaniu linii rodu wynikały z niecnej ingerencji jakiegoś niezadowolonego demona. Dlatego władca zawczasu zbudował z żelaza mały zamek, który z racji niewielkich rozmiarów mieścił się we wnętrzu jego fortu. Grube żelazne ściany miały być ochroną przed inwazją sił nieczystych. I jak pokazywało doświadczenie, żaden zły impuls nie mógł się przez nie przebić, bo młody książę rozwijał się dobrze, napełniając serca królowej matki i zatroskanego ojca nowymi nadziejami. Lud nazywał malca Księciem z Żelaznego Domu. Chłopiec nie mógł jednak go opuszczać do czasu aż pojawią się u niego znaki dojrzałości i przestanie być bezbronnym dzieckiem. Jego dworzanie, nauczyciele, towarzysze zabaw, wchodzili do tego domu i wychodzili bez trudu, on sam żył jednak w nierealnym świecie harmonii, młodości, radości, bez obowiązków, przymusów otoczony pięknem i miłością. Książę z prawdziwą przyjemnością czerpał wiedzę od swoich uczonych preceptorów. Przeczytał chyba wszystkie Wedy, część z nich znał na pamięć. Pilnie studiował inne święte teksty. Umacniała się jego wiara i krystalizowało w nim poczucie obowiązku, prawa, życzliwości wobec ludzi i wspaniałomyślności. Gdy książę był już dorastającym chłopakiem w mieście rozpoczęły się przygotowania do dorocznego święta Kaumadi, które tego roku miało być szczególnie uroczyste z racji przypadającego jubileuszu panowania dynastii. Zwrócił się do ojca:

— Panie, mój ojczu. Jestem już dorosły i żaden demon nie

może mi zagrozić. Chroniłeś mnie, gdy byłem bezbronny. Teraz potrafię bronić się sam!

Król zgodził się uwolnić z Żelaznego Domu swego jedynaka. Astrolorzy i bramini zapewniali go przecież, że będąc w wieku męskim książę będzie już uodporniony na zakusy zła. Jednak, tak jak w każdym ojcu tliła się iskra niepewności. Czy aby uczeni wszystko dobrze obliczyli, czy dokładnie sprawdzili horoskopy? Ale i tak nie mógł wiecznie trzymać syna z dala od realnego świata. Postanowił jednak, na wszelki wypadek dać mu dodatkową eskortę zbrojnych.

— Idź, mój synu. Przyszły monarcha musi prędzej czy później zmierzyć się z wrogiem i złośliwymi demonami. Niech ci przyświeca twoja szczęśliwa gwiazda!

Miasto swą dekoracją przypominało rajske ogrody. Radośni mieszkańcy wznosili pochwalne okrzyki na cześć króla i księcia. Jego złoty rydwan też wydawał się, jakby to sam Suria był jego właścicielem i oto zjechał z nieboskłonu specjalnie na to święto. Przydzielona mu gwardia przyboczna prezentowała siłę, odwagę i zdawała się nie do pokonania.

Piękny książę wyglądał jednak na zatroskanego. Rzeczywiście w jego sercu kłębiły się nieznane wcześniej obawy, a głowę zaprzątały zgoła nieświęte myśli. Cóż wart jest ten cały splendor, skoro już jutro będzie tylko bladym wspomnieniem? Jak bezradny wobec losu jest każdy człowiek? Jak ludzie mogą myśleć w radości i szczęściu, gdy czeka ich bezsilna starość, a ona sama śmierci tylko wygląda? Ile czasu można trwać bez choroby, najazdu wrogów czy innego nieszczęścia, które może się czaić już w dniu jutrzejszym? Wszak jesteśmy jak chmury, które bezwiednie przepędza wiatr, w stronę, która mu się

spodoba? Czyż nie trzeba uprawiać dobrej dharmy, aby uwolnić się od tych wszystkich pozornych i bezmyślnych, a złudnych chwil, które wydają się szczęściem?

I już nie potrafił się radować wespół ze swym ludem. Powziął bowiem postanowienie, aby wstąpić na ścieżkę ascezy i usilnym staraniem uwolnić się od złudzeń osiągnięcia wyzwolenia prowadząc życie, jakie mu wyznaczili astrologi. Wszak są oni tylko bezmyślnymi pośrednikami między bezrozumnymi liczbami, a ufnie wierzącym ludem. Po rychłym powrocie do pałacu o swej nieodwołalnej decyzji powiadomił ojca. W monarchię wstąpiła furia.

— Czy tak lękliwego mam syna, że boi się odpowiedzialności za rodzinę i kraj? Czy aby bogowie nie zakpili ze mnie, zabierając mi poprzednio przedwcześnie i podstępnie dziedziców godnych korony? Czy takiej nagrody mogłem się spodziewać, chroniąc cię przez wszystkie te lata, które spędziłeś w Żelaznym Domu?

Po wściekłości serce monarchy wypełnił bezbrzeżny smutek, a po nim rezygnacja. Książę był bowiem zdeterminowany już od zaraz żyć jako asceta. Król zrozumiał, że nawet powodzenie, władza, uroda i bogactwo nie mogą prawdziwie miłującego ascezę, sprowadzić ze ścieżki doń wiodącej. Pogodził się z synem i dał mu błogosławieństwo w osiągnięciu celu, który młody człowiek sobie wyznaczył.

Bawół

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno temu, kiedy w Benares rządził król Brahmadata, w himalajskiej dolinie Bodhisattwa żył jako bawół. Był zwierzęciem silnym, ale łagodnym, dobrodusznym i cierpliwym. Bardzo lubił tylko po najedzeniu się do syta, odpoczywać w pobliskim błotnistym bajorku. Te zalety wielkiego zwierzęcia, a szczególnie łatwe wybaczenie wszelkiego dokuczania, były znane mieszkającym na pobliskich drzewach małpom. Szczególnie jedna znacznie przewyższała inne złośliwością, jaką cechowała się cała jej rodzina. Jej nie wystarczyło, że mogła się najeść do syta, musiała jeszcze, co dzień zrobić jakąś przykrość spokojnemu sąsiadowi. Ten mógł, co prawda, jednym machnięciem potężnych rogów pozbawić ją życia, ale nigdy nawet podobna myśl nie przychodziła mu do głowy.

Małpa więc wskakiwała mu na kark i trzymając się rogów, odbywała niemal codziennie przejażdżki na grzbiecie bawołu. Wyprawiała różne akrobacje na nim, ale nic nie wytrącało olbrzyma ze spokoju i równowagi. Szczypała, drapała, aby szybciej się poruszał, ale wół, zgodnie ze swą naturą, nie chciał

przyspieszać. Pozostałe małpy, usadowione na okolicznych drzewach, miały codzienne, bezpłatne widowisko. Piskami i gestami zachęcały swoją towarzyszkę do jeszcze odważniejszych figli, które były niewątpliwie utrapieniem olbrzyma. Ten jednak znosił je cierpliwie. Pewnie myślał: Małpy już takie są, złośliwość leży w ich naturze. Trzeba być cierpliwym.

Oglądał te sceny pewien dobry jaksza. Bezmyślne dokuczanie zwierzęciu i całe skandaliczne zachowanie złośliwej małpy zgniewało go wreszcie. Pomyślał: Ten dobroduszny olbrzym znosi wszystko cierpliwie, gdyż ma szlachetną duszę i miękkie serce. Nie powinien dać z siebie kpić. Cierpliwość też powinna się skończyć w obliczu bezwstydných prowokacji. Powinno się małpom dać nauczkę! Zbliżył się do bawołu i rzekł:

— Panie, jesteś równie silny jak lew. Czyżbyś nie znał swej mocy? Jak możesz tak rozzuchwalać złośliwe i wredne małpy. Jeden twój ruch rogiem i pozbędziesz się dręczycielki.

— Drogi przyjacielu — odparł bawół. — Znam swą siłę i dlatego za bezmyślne zachowanie nie mogę skazać na śmierć niemądre zwierzę. Cierpliwość jest jedną z kardynalnych cnót. Ja ją teraz właśnie ćwiczę. Dokuczania małpy nie są wcale największymi utrapieniami, z jakimi możemy się zetknąć na tym świecie. Nie będę jej karał, bo nawet najśłabszy mój klaps mógłby ją zabić. Nie martw się o mnie, mój drogi.

Akurat jaksza ów był krewkim zwierzęciem. Pomyślał: Nie można tak zostawić małpich zniewag. Ktoś musi nauczyć je moresu. Ten potulny biedak nie jest do tego zdolny. Muszę coś sam wymyślić!

Kilka dni później, gdy bawół, o którym mowa poszedł paść się na sąsiednią polanę, niedaleko małpiego gaju pojawiło się



inne, równie wielki zwierzę. Trudno było je doprawdy rozróżnić z tutejszym olbrzymem. Jaksza zbliżył się do nowo przybyłego i zagadnął:

— Panie, zaszczytasz naszą polanę swym przybyciem. Mamy tu naprawdę dobrą trawę i szkoda, aby zwierzęta pośledniejszego gatunku ją wyjadały. Ponadto mamy tu, na skraju polany wspaniałe bajoro z mułem tak delikatnym, że zachwyca wszystkie strudzone czworonogi. Zechciej, panie, korzystać z naszej gościnności.

Nowy bawół ucieszył się takim powitaniem. Podjadł sporo soczystej trawy i poszedł odpocząć w bajorze. Małpa była pewna, że „stary niedorajda znów się przywłókl”. Zeskoczyła z drzewa, podbiegła do bajora i jednym susem wskoczyła na kark zwierzęcia. Zaczęła go szczypać, targać za rogi, podskakiwać i wyczyniać jeszcze inne harce. Na dodatek wyśmiewała się z niego, a wtórowały jej wszystkie małpy na drzewie. Złość zagotowała się w bawole. Oczy zaszyły mu krwawą wściekłością. Strząsnął głupią małpę jednym ruchem głowy, a gdy upadła na ziemię, przykuł do ziemi rogiem.

— Cierpliwość i tolerancja dla cudzych zachowań jest wielką cnotą istot oświeconych, ogarniętych miłością i współczuciem do nich — powiedział jaksza — ale niekiedy ignorant i złośliwiec może trafić na podobnie jak on popędliwego i wtedy zawsze się to źle kończy.

Dzięcioł

Tak słyszałem od mego guru. On sam był uznanym przez swego mistrza autorytetem w krzewieniu nauk buddyjskich i świecił przykładem buddyjskich cnót.

Dawno temu, kiedy w Benares rządził król Brahmadata, w himalajskiej dolinie Bodhisattwa żył jako dzięcioł, zdobny w kolorowe piórka i wyposażony w mocny dziób. Pracowicie biegły mu dnie. Mówiono, że leczył wszystkie chore drzewa, wydziobując z nich larwy korników. Pewnego razu spostrzegł lwa budzącego zawsze strach, który cierpiąc, ryczał i bezradnie biegał po puszczy. Na koniec król zwierząt zaczął rozpaczliwie drapać ziemię pazurami.

Może trafiła go zatruta strzała myśliwego? — zastanawiał się zaniepokojony bólem bestii dzięcioł. Zapytał na koniec:

— Co ci jest, przyjacielu?

Pytanie było pełne współczucia dla mocarza kniei.

— Kość mi utkwiła w gardle. Może ty mi pomożesz? Nie bój się, nic ci nie zrobię — jęczał król zwierząt.

— Mówiono mi, że jesteś niebezpieczny dla każdego żywego stworzenia. Nie masz przyjaciół, bo wszystkich pożarłeś.

— Prawda, że mam dobry apetyt, a głód może uczynić mnie nieobliczalnym. Teraz jestem jednak najedzony i tylko

ta nieszczęsna kość zdradliwie wbiła mi się w podniebienie. Usuń ją, a dostaniesz, co zechcesz. Obiecuję sowitą nagrodę!

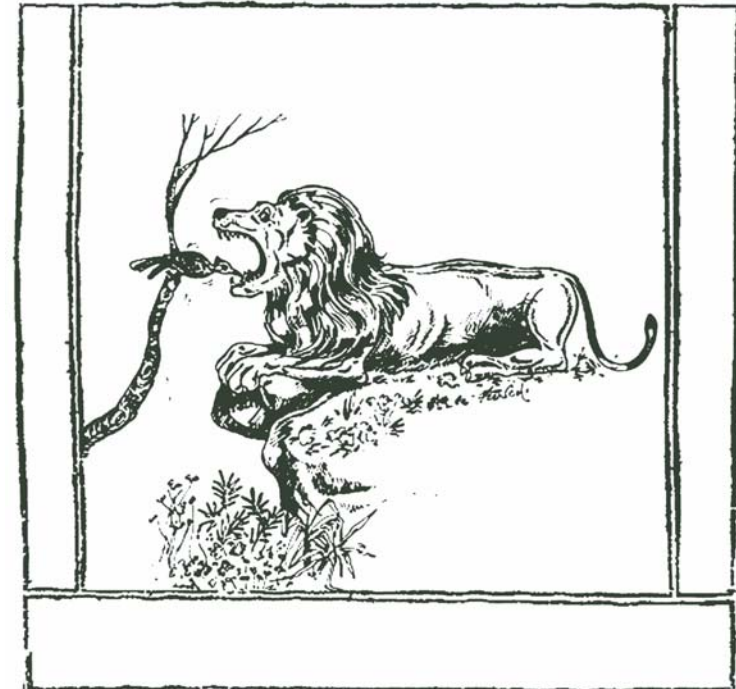
Dzięcioł zastanowił się przez chwilę, na koniec jednak sfrunął z drzewa. Lew rozwarł szeroko paszczę.

Ptak wsadził mu w poprzek niej kawał gałęzi i wtedy wydobyl tkwiącą głęboko kość. Później wyjął zabezpieczającą gałąź i odfrunął na drzewo.

— A teraz, co z zapłatą, panie lwie? — pytał dzięcioł.

— Kto z życiem uszedł z mej paszczy, ten już powinien być zadowolony. Oto zapłata — zaryczał lew groźnie.

— Więcej już ci nie pomogę — odparł ptak. — Kto nieużyty i niewdzięczny, temu nikt nigdy nie pomoże



„Dawno, dawno temu, kiedy w Benares rządził król Brahmadaffa...” tak zaczyna się wiele historii o poprzednich wcieleniach Buddy, który w swej podróży przez kolejne inkarnacje był królewskim synem albo ministrem, braminem w rybackiej wiosce lub duchem morskim, przychodził na świat w domu królewskiego skarbnika, ale też jako gołąb, jeleni czy szakal. W owych dawnych czasach ryba zwana Rozsądną ratowała z rybackich sieci łakome towarzyszeki, słoń przyjaźnił się z psem, co w Indiach uważano za równie prawdopodobne, jak przyjaźń kota z myszą, a król Kośali śnił tajemnicze sny, których znaczenie wykladał mu Budda.

34 przypowieści džatak z sanskryckiego zbioru znalazło się w książce wydanej pod auspicjami Indyjsko-Polskiego Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Kultury w Warszawie. Autorem adaptacji tych króciutkich bądź dłuższych opowieści jest Janusz Krzyżowski, wielbiciel i popularyzator kultury Orientu.

Umesh Rautiyal
Head JPCC

Janusz Krzyżowski, a long acting Indo-Polish Cultural Committee member have translated and adapted this monumental work of Buddhist literature. The merit of the translation lies in the fact that Jatakas have been translated first time in Polish which enhances the beauty for the readers.



November 24, 2010
Sakyamuni Sambuddha Vihara